

Carol Grace

Dar niebios

Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
A Taste of Heaven
Pierwsze wydanie:
Mills & Boon Limited 1993
Przełożył:
Jacek Potrzyszcz



PROLOG

Zawsze przed niedzielnym obiadem McDermottowie z Friday Harbor składali ręce, by odmówić krótką, cichą modlitwę. Kyla Tanner pamiętała o tej tradycji, choć przez dłuższy czas nie odwiedzała krewnych swojej matki. Nie spuściła oczu i objęła spojrzeniem bliskie, kochane twarze pochylone nad owalnym stołem. Widok rodziny przypominał jej szczęśliwe lata spędzone na wyspie przed śmiercią matki.

– Jak długo możesz jeszcze zostać, Kyla? – pytanie kuzynki Beth przerwało jej rozmyślenia.

– To mój ostatni dzień. Wyjeżdżam po obiedzie.

– A dokąd tym razem?

– Do Nepalu – starała się, by zabrzmiało to rzeczowo, ale nawet ona odczuwała dreszcz podniecenia na myśl o wspinaczkę w niebotycznych Himalajach.

– Nepal? – Głos ciotki był pełen niepokoju. – Czy nie kusisz losu, moja panno?

– Mam chyba niewiarygodne szczęście, że agencja „Podróż z przygodami” płaci mi za to, co tak bardzo lubię robić. Myślę sobie, że właściwie to ja powinnam im zapłacić.

– Co by na to powiedziała twoja matka? – Pokiwała głową ciotka Mildred.

– Powiedziałyby: jedź. Ona sama osiągnęłaby więcej, gdyby mogła. Ale młodo wyszła za mąż, a potem... – Kyla przerwała nagle.

Nawet teraz, siedem lat po śmierci matki, mówienie o niej i o jej nie zrealizowanych ambicjach sprawiało ból.

– Miałam tylko na myśli – ciągnęła miękko ciotka, by złagodzić przykrość

Kyli – że w tych miejscach, do których jeździsz, często brak porządnej opieki lekarskiej.

– Nie martw się – uspokajała ją Kyla, nakładając drugą porcję doskonałego łososa. – Noszę z sobą podręczną apteczkę ze wszystkim, czego mogę potrzebować, od surowicy na jad żmii po antybiotyki.

Powiodła wzrokiem wokół stołu i dostrzegła na twarzach krewnych mieszaninę zainteresowania i podziwu. Musi częściej przyjeżdżać do starego domu na Puget Sound. Jeśli w ogóle miała gdzieś dom, to właśnie tu.

Na wędrówce pieszej czy na kajakowym spływie czuła się wolna. Nikt tam nie wiedział, że żyje ze świadomością zbliżającego się nieszczęścia, co pozwalało jej udawać, że sama o tym nie wie. Mogła wyobrazić sobie, że jest taka jak wszyscy, że ma prawo kochać, wyjść za mąż, mieć dzieci. Tutaj, w tym domu, znano prawdę o niej i dzielono z nią te same nadzieje i lęki. Sięgnęła przez stół i nakryła ręką dłoń ciotki.

– Jestem bardzo ostrożna – powiedziała łagodnie. – Wiem, że to wszystko wygląda niebezpiecznie, ale naprawdę tak nie jest.

Kuzyn Brian przytaknął ze zrozumieniem. Nikt nie zgadłby, patrząc na jego silną postać i piękną twarz cherubina, że jest, tak jak pozostali, zagrożony fatalnymi skutkami dziedzicznej choroby Huntingtona, płasawicy.

– Wiem, dlaczego to robisz, Kylo. Łatwiej jest podejmować ryzyko, jeśli i tak grozi niebezpieczeństwo największe z możliwych.

– Może – szybko odpowiedziała Kyla.

Nie była zadowolona z wyjaśnień Briana. Robiła to, co lubiła robić. Być może, w odróżnieniu od innych ludzi, miała wrażenie, że musi się spieszyć, że nie wolno tracić ani chwili tak bezcennego czasu.

– Nonsens – wtrącił wuj Jack. – Nawet kiedy była dzieckiem, robiła wszystko, co chciała. To Kyla dopływała aż do ławicy piaskowej w porcie. To ona zeskakiwała z huśtawki i obdzierała sobie kolana ze skóry w krzakach jeżyn. Nie wyobrażacie sobie chyba, że się zmieni, dlatego tylko, że dorosła?

Po obiedzie wszyscy zebrali się na werandzie, gdzie Kyla ze łzami w oczach ucałowała ich na pożegnanie.

– Jak długo jeszcze masz zamiar uciekać, Kylo? – spytała ciotka, gdy jechały na przystań promu, którym Kyla miała odbyć pierwszy etap podróży do Katmandu. – Pewnego dnia będziesz musiała zatrzymać się i stawić temu czoło. Choroba Huntingtona nie mija. Przeprowadź test. Dowiedz się, czy ją masz. Inni nie chcą, ale ty masz więcej rozsądku.

Kyla z uporem potrząsnęła przecząco głową.

– Jeśli się zatrzymam, by stawić temu czoło, nie będę już w stanie wspinać się, żeglować, latać szybowcem. Przyznam, że boję się testu. Oszczędzam nerwy, by móc pracować. Nie mam dość siły, by dać sobie z tym radę.

– Owszem, masz – odparła spokojnie ciotka. – Masz dużo odwagi.

– Nie więcej niż oni wszyscy – powtórzyła z naciskiem Kyla.

Na przystani zabrała walizkę z tylnego siedzenia i uśmiechnęła się uspokajająco do ciotki.

– Za rok, o tej samej porze, w tym samym miejscu?

Mildred skinęła głową i przechyliła się, by ją mocno objąć.

– Nie mówiłabym nic, gdyby żyła twoja matka, ale jestem jej siostrą. Znałam cię przez całe twoje życie...

– Wiem i rozumiem. Nie bój się o mnie. Życie mam piękne. Dziękuję ci za wszystko.

Pomachała ciotce na pożegnanie z górnego pokładu promu, który z hałasem odbijał od brzegu. Dopiero gdy samochód ciotki wydawał się małym punkcikiem na przystani, Kyla pozwoliła płynąć łzom.

Mogę iść dalej tak długo, jak potrafię. Chcę iść dalej, myślała. Nie będę patrzeć w przyszłość, dopóki przeszłość mnie nie dopadnie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Katmandu było ostatnim miejscem, w którym Kyla Tanner spodziewałaby się znaleźć w połowie października. Oczywiście, doceniała egzotyczną atmosferę bajkowego miasta, ale wolała ryzyko wspinaczki na szczyty, okalające żyzną dolinę. Zaledwie dwa dni temu, razem z dziewięcioma osobami ze swojej grupy turystycznej, siedziała po ciężkim dniu wędrówki przy obozowym ognisku, popijając *raksi*. A teraz jechała taksówką przez hałaśliwe miasto, które wydawało się zupełnie innym światem.

Kyla obwiniała siebie o wypadek, któremu uległa Lilian, o to, że wybrała za trudny szlak. Z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, że każdy mógł pośliznąć się na obluzowanej skale i upaść na plecy. Któregoś dnia mogło to spotkać ją samą.

W ciągu trzech lat oprowadzania grup turystycznych, od bieguna południowego po wyspy Galapagos, Kyla była w stanie poradzić sobie z każdym wypadkiem, w którym wystarczyłaby aspiryna lub bandaż. Ale nie z takim.

Odwróciła się do kobiety na tylnym siedzeniu taksówki, lecz zrezygnowała z pytania, jak się czuje. Wystarczyło spojrzeć na jej szarą jak popiół twarz i zaciśnięte z bólu usta.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała cicho Kyla. – Wytrzymaj jeszcze parę minut. Podobno jest tam lekarz amerykański – dodała z nadzieją.

Lilian w odpowiedzi jęknęła, a Kyla odetchnęła wreszcie z ulgą, gdy taksówka zatrzymała się przed niskim, nieforemnym budynkiem. Kierowca wyskoczył i otworzył drzwiczki.

– Szpital doktora Chase’a – zaanonsował z dumą. Kyla dostrzegła

porysowany tynk, łuszczącą się farbę, zaśmiecony chodnik. Ale jakkolwiek wyglądałoby to miejsce, jeśli tam w środku jest amerykański lekarz, nie pojedą nigdzie indziej. Lilian jest już u kresu wytrzymałości. Przeżyła morderczą przeprawę w górach, niesiona przez Szerpów na zaimprovizowanych noszach, a potem lot helikopterem z Kylą na składanym siedzeniu obok. Ten obdrapany szpital „stynnego” doktora Chase’a był ich jedyną nadzieją.

Kyla wbiegła po schodkach do budynku.

– Czy mogę dostać nosze, żeby ułożyć pacjentkę? – zawołała do ciemnoskórej kobiety, siedzącej w recepcji za biurkiem.

– Czy ona ma wyznaczoną wizytę? – kobieta podniosła głowę.

Kyla westchnęła głęboko i rozejrzała się po zatłoczonej poczekalni. Wszystkie miejsca były zajęte. Starzy mężczyźni w spłowiałych koszulach, z opaskami na oczach, siedzieli obok ubranych w sari kobiet, trzymających dzieci na kolanach.

– To jest nagły wypadek. Nie było czasu na zamawianie wizyty. Ona miała wypadek w górach. Trwało dwa dni, zanim się tutaj dostaliśmy. Ta kobieta bardzo cierpi. – Kyla przechyliła się przez biurko. – Czy mogłaby pani zawiadomić doktora, że jesteśmy tutaj?

– Doktor Chase jest na sali operacyjnej – powiedziała recepcjonistka, wyglądając fałdy białego fartucha. – Czy chodzi o uszkodzenie oczu?

Kyla zastanowiła się nad tym pytaniem. Jeśli uszkodzenie oczu pozwoliłoby jej przeprowadzić Lilian obok recepcjonistki, to dobrze, skłamię, zdecyduje się na ten desperacki krok. Ale zanim zdołała zniżyć się do krętaactwa, po przeciwnej stronie wyłożonego kafelkami korytarza pojawiła się wysoka postać w masce i w zielonym fartuchu chirurga. To powinien być doktor Chase.

Wreszcie znalazł się ktoś, kto mógł zrozumieć powagę sytuacji i coś poradzić. Odetchnęła z ulgą. Jeżeli zdziwił go widok zbliżającej się Amerykanki ze strzechą ciemnych, potarganych włosów, ubraną w grube wełniane legginsy i czarną koszulkę polo, to nie dał tego po sobie poznać. Natomiast w jego ciemnych oczach odbiła się niechęć, która przykro zaskoczyła Kylę.

Każdy, kto wyglądał tak jak ona, i w taki sposób jak ona zarabiał na życie, musiał przyciągać uwagę otoczenia. Nie była wprawdzie jedyną kobietą, kierującą grupami turystycznymi w Himalajach, ale tamte były starsze, bardziej doświadczone. Nie miały też jej wystających kości policzkowych, wielkich szarych oczu i niskiego gardłowego głosu, który sprawiał, że ludzie zatrzymywali się, by jej posłuchać.

– Doktor Chase?

Niestety, nic nie wskazywało, że jest choćby w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co ona ma do powiedzenia. Wprawdzie nie zepchnął jej

z drogi, ale nie zatrzymując się szedł wielkimi krokami przez korytarz i wzdłuż holu. Jednak Kyla, która w ciągu ostatnich trzech tygodni przewędrowała prawie dwieście kilometrów, potrafiła bez trudu dotrzymać mu kroku.

– Przywiozłam panu pacjentkę – mówiła, nie zbita z tropu jego milczeniem. – Dwa dni temu, po drugiej stronie Lakhli, potłukła się, upadając na plecy.

Zatrzymał się w końcu i spojrzął na nią ciemnymi, zmęczonymi oczyma, a zmarszczki na jego czole wydawały się głębokie jak bruzdy.

– Czy ona jest turystką? – spytał z ledwie powściąganym niesmakiem.

– Tak, ale...

– To jest nepalski szpital okulistyczny. Leczymy ludzi, którzy tu mieszkają, ludzi, których nie stać, by udać się gdzie indziej.

– Ale pan jest Amerykaninem – wybuchnęła gniewnie. – A to jest nagły wypadek.

– Gdybym chciał leczyć bogate, rozpieszczone Amerykanki, zostałbym w domu, w Ameryce.

Jego oczy prześliznęły się po niej, od zniszczonych butów turystycznych po rozwichrzone włosy. Gdy ich spojrzenia znów się spotkały, zdała sobie sprawę, że był nie tyle wrogo nastrojony, ile bardzo zmęczony. Zaciekawilo ją, jak wygląda reszta jego twarzy, którą teraz szczelnie ukrywała maska.

Jakby czytając w jej myślach, ściągnął niecierpliwym gestem zieloną czapkę oraz maskę i rzucił je na stojącą w pobliżu skrzynię. Ciemne, brązowe włosy spadały mu na czoło. Usta miał pełne i zmysłowe, ale mocno zaciśnięte. Głęboka szczelina przecinała podbródek. Wpatrywała się w niego tak, jak gdyby chodziło o kadr filmu. Wreszcie głośno przełknęła ślinę.

– Nie wiem, czy jest bogata, czy nie, ale z pewnością nie jest rozpieszczona. Robiliśmy dziennie dwadzieścia parę kilometrów i sypialiśmy na ziemi. Rzecz w tym, że ona teraz potrzebuje pomocy i to natychmiast. Czy nie mógłby jej pan chociaż obejrzyć?

Potrząsnął przecząco głową.

– To nic nie da. W całym szpitalu nie ma ani jednego wolnego łóżka. Widziała pani poczekalnię? Ci ludzie schodzą się tu z całego kraju i są albo ślepi, albo tracą wzrok. Czy pani myśli, że rzucę wszystko dla kobiety, która przede wszystkim nie powinna się tu wcale znaleźć? – Przesunął ręką po włosach. – Gdzie ona jest?

– W taksówce przed wejściem. Jeśli pan mógłby...

– Zobaczyc ją. Wiem. Słyszałem. Obejrząc ją i to wszystko. Powiedziałem, że nie mam ani jednego wolnego miejsca.

Przeszedł szybko przez hol i poczekalnię z Kylą przy boku. Recepcjonistka wstała na jego widok.

– Doktorze – powiedziała, a jej brązowe oczy były pełne uwielbienia. – Rodzina pani Khumjung jest tutaj, żeby zabrać ją do domu.

– Wróć za chwilę – rzucił przez ramię.

Nic dziwnego, że ten człowiek stał się tyranem, pomyślała Kyla, przechodząc za nim przez drzwi. Jest tu wszędzie traktowany, jak gdyby był małym bogiem i sam w to zaczął wierzyć. Właściwie знаła już zarówno aroganckich młodych lekarzy amerykańskich, jak i tych siwowłosych o ojcowskich manierach. Pielęgnując matkę w ciągu długiej, wyniszczającej choroby i odwiedzając w szpitalach innych, cierpiących na płasawicę krewnych, poznała już przeróżne odmiany medyków. Nieprzyjemnie jednak było znaleźć taki właśnie okaz na drugim końcu świata.

Chase patrzył na kobietę w taksówce. Najwyraźniej bardzo cierpiała. Tak bardzo, że zwlekał z odwróceniem się i odejściem. Powinien odesłać ją i tę młodą kobietę, która stała obok. Tylko dokąd? Szpital rządowy był na drugim końcu miasta i... Wolałby, żeby ta młodsza nie patrzyła na niego z mieszaniną nadziei, lęku i determinacji w oczach i z wyrazem twarzy, który mówił, że nie zwykła prosić o łaskę.

– No, dobrze – burknął, zły na nią, że ma na niego aż taki wpływ i zły na siebie, że jej ustępuje. – Wniosimy ją i zbadamy, ale nie będzie mogła tu zostać:

Zawieziono chorą na wózkę, a po prześwietleniu Chase odesłał ją na oddział i zabrał się do oglądania zdjęć. Wtedy otworzyły się drzwi jego gabinetu i weszła ta kobieta o niepokojących szarych oczach. Zmarszczył brwi. Czy nikt nie nauczył jej pukać przed wejściem? Nie tylko weszła jak do siebie, ale zajrzała mu przez ramię, oglądając podświetlone zdjęcia.

– I co pan o tym sądzi? – spytała tak, jakby była jego koleżanką.

– Wygląda na przepuklinę krążka międzykręgowego – odpowiedział krótko, wskazując na miejsce w dolnym odcinku kręgosłupa. – Dysk między czwartym i piątym kręgiem lędźwiowym wyskoczył.

– Nic dziwnego, że ją tak boli. – Kyla westchnęła głęboko.

Chase przytaknął, wskazując znów na zdjęcia.

– To są korzonki nerwowe, wychodzące z rdzenia.

– Więc co można poradzić? – spytała z troską, marszcząc brwi. – Nie należy jej poruszać. – Było to raczej twierdzenie, niż pytanie.

Doktor najeżył się. Wydawało się jej chyba, że wie więcej od niego. Zgasił lampy Podświetlające zdjęcia i odwrócił się do niej.

– Nie należy jej poruszać, ale nie może też pozostać tutaj. Łóżko jest mi potrzebne. Dam jej jakiś środek przeciwbólowy.

– A co takiego?

Chase zacisnął zęby. Im szybciej pozbędzie się ze szpitala tej kobiety i jej przyjaciółki, tym lepiej.

– Kodeinę – poinformował.

– W porządku? – Dostrzegł z przerażeniem, że jej dolna warga zaczyna drżeć. Wielki Boże, chyba nie będzie tutaj płakać?

– Oczywiście – odpowiedziała. – Przykro mi, że jestem taka ostra, ale nie mogę; przestać się martwić. Odpowiadam za nią.

– Czy pani jest jej córką? – spytał, opierając się o biurko i natychmiast poczuł ochotę wycofania wypowiedzianych słów. Im więcej będzie wiedział o niej, tym trudniej będzie mu ją spławić. Obserwował, mimowolnie zafascynowany, jak jej oczy zmieniają się, z jasnych stają się ciemnoszare niczym niebo nad górami.

– Jestem przewodniczką turystyczną – wyciągnęła do niego rękę. – Kyla Tanner z agencji „Podróż z przygodami”.

Nie miał ochoty na podawanie ręki. Nie miał w ogóle ochoty jej dotykać, ale jego oczy przesunęły się po jej rozwichrzonych włosach, policzkach i krągłych liniach, rysujących się pod koszulką z dzianiny. Gdy już dłużej nie mógł ignorować wyciągniętej ręki, podał swoją.

– Pan pytał, czy Lilian jest bogata – wpatrywała się w niego uporczywie. – Nie ma sensu kłamać. Takie wycieczki są kosztowne i wyobrażam sobie, że jej rodzina byłaby panu wdzięczna za leczenie, więc przypuszczam... – spojrzała na skąpe umeblowanie, na pęknięcia tynkowanych ścian – ...że mógłby pan uzyskać pomoc na wyposażenie, na lekarstwa, na cokolwiek...

Cofnął się o krok.

– Czy pani próbuje dać łapówkę członkowi Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich? – spytał niedowierzająco.

Rumieniec oblał jej twarz i szyję. Wyprostowała się zdecydowanie.

– Oczywiście, że nie – odrzekła lodowatym tonem. – Zastanawiałam się tylko, czy szpital może korzystać z darowizn. Jeśli pan jest zbyt dumny, by przyjąć pieniądze, to może jest ktoś inny, kogo mogłabym o to spytać.

Nie mógł wprost uwierzyć w tupet tej kobiety. Najpierw ofiarowywała mu pieniądze, a teraz groziła, że załatwi sprawę ponad jego głową.

– Dziś wieczorem nie ma nikogo – oświadczył szorstko. Był na nogach od szóstej rano i jeszcze miał pacjentów do zbadania. Niech to diabli, jeśli jeszcze straci dla niej choćby minutę. – Być może jutro znajdzie pani kogoś, kto przyjmie pieniądze. Tymczasem pani przyjaciółka może zostać tutaj, skoro pani Khumjung wychodzi. Ale jutro musi pani znaleźć inne rozwiązanie.

Zgasił światła w swym gabinecie, a ona wyszła za nim przez frontowe drzwi. Pożegnał ją lekkim skinieniem głowy i obserwował spod oka, jak znika w oparach spalin, w tłumie wieczornej ulicy. Dokąd poszła?

Do któregoś z tych nowych hotelowych wieżowców w dzielnicy Thamel, które obsługiwały turystów? Jak mogła w tym chaosie złapać taksówkę? Powtarzał sobie, że nie powinien tracić czasu na troskę o nią.

Taksówka Kyli przebiła się przez zatłoczone miasto obok Queen's Reservoir, ocierając się niemal o przechodniów, żebraków i młodych

Tybetańczyków ubranych na zachodnią modłę. Dziewczyna zaledwie zwracała na nich uwagę. Patrzyła prosto przed siebie, rozszluszczona sposobem, w jaki potraktował ją arogancki doktor Chase. Jakże on drwił z propozycji pomocy dla szpitala, jak gdyby zadała gwałt jego wzniosłym regułom postępowania w sprawach materialnych. A potem doprowadził do tego, że poczuła się dzieckiem rozpieszczonym i do tego amoralnym. Policzki jej płonęły.

Z przyjemnością sprawdziłaby, czy u stóp Mount Everestu potrafiłby wspiąć się choćby w połowie tak dobrze jak biedna Lilian. Właściwie jednak nie miała ochoty spotkać go znowu gdziekolwiek. Facet najwyraźniej myśli, że jest boskim darem dla medycyny! I prawdopodobnie nadal byłby odrażający, nawet gdyby z płonącymi, głęboko osadzonymi oczyma i cieniem popołudniowego zarostu na twarzy wyglądał jak bohater telewizyjnego serialu.

Był nie do zniesienia, ale jak Lilian dałaby sobie radę bez niego?

W hotelu odnalazła członków swojej grupy, czekających na nią w holu, by dowiedzieć się, co się dzieje z Lilian. Podała im tylko pomyślnie nowiny.

– Leży w szpitalu, ma naruszony dysk. Jest tam amerykański lekarz, jak się wydaje, bardzo kompetentny. – Nieważne, że był przy tym wyniosły i oschły.

– Odpoczywa i ma wygody – zapewniała ich, nie dodając, że Lilian może odpoczywać wygodnie tylko do rana, kiedy to znów znajdzie się na ulicy.

Grupa pozbyła się już turystycznych butów i grubych swetrów, wkładając miejskie ubrania. Chcieli, by przewodniczka poszła z nimi na kolację, ich pierwszy prawdziwy posiłek po powrocie. Kyla poprosiła o pół godziny, by się wykąpać i przebrać.

Po trzech tygodniach mycia się w lodowatych strumieniach nie chciała pozwolić, by myśl o doktorze Chasie zepsuła jej rozkosz moczenia się w wannie pełnej gorącej wody. Nie mogła jednak powstrzymać się od myślenia o Lilian i postanowiła, że po powrocie z restauracji zatelefonuje do kalifornijskiego oddziału „Podróży z przygodami” prosząc, by zawiadomili krewnych turystki. Muszą przysłać kogoś, kto zabierze ją do domu. Wówczas Kyla wyjedzie, by kierować grupą na spływie tratwą po Jangcy. Bardzo już chciała znaleźć się w drodze, gdyż nie lubiła tkwić w jakimś mieście między dwiema wyprawami. Stwarzało to zbyt wiele okazji do rozmyślań – ile jeszcze pozostało jej czasu na poddawanie próbom swej siły i zrzeczności.

Wytarła się ogromnym, puszystym ręcznikiem, włożyła czyste legginsy oraz ręcznie robiony lawendowy sweter i poprowadziła grupę do swej ulubionej restauracji „Yak and Yeti”. Gospodarz pamiętał ją, a Kyla była rada, że grupie odpowiadało ciemne, przytulne wnętrza i że podziwiano rozwieszzone na ścianach zdjęcia zdobywców Himalajów. Siedząc przy stole w zacisznym kącie, Kyla wpatrywała się w fotografię sir Edmunda Hillary’ego i jego przewodnika – Szerpy. Czy sir Edmund odczuwał ten sam niepokój, co ona,

tę samą potrzebę wędrowania do nowych miejsc i przeżywania emocji odkrywcy? Nawet jeśli tak, to z pewnością nie miał, jak ona, poczucia, że musi się spieszyć.

– Kyo – przerwała jej rozmyślenia najmłodsza turystka, Mary O’Dwyer. – Tam siedzi mężczyzna, który wpatruje się w ciebie od chwili, gdy tu przyszliśmy. Nie zauważyłaś tego?

– Gdzie?

Przelotnie zerknęła na salę, trzymając w rękę czarkę miejscowego wina ryżowego. W odległym rogu siedział gość, odwrócony do niej plecami. Było jednak coś znajomego w zarysie jego ramion i zmierzwionych włosach, spadających na kołnierz marynarki. Ale kto to mógł być? Żaden z jej przyjaciół nie przebywał teraz w mieście. Nagle odwrócił głowę i spojrzenia ich spotkały się. Postawiła czarkę z taką siłą, że jasny płyn wylał się na obrus. Doktor... Podniosła serwetkę do ust, ale właściwie miała ochotę wpełznąć pod stół, by się ukryć.

– Chyba wiem, kogo masz na myśli – szepnęła do Mary. Dlaczego spośród wszystkich restauracji Katmandu wybrał akurat tę?

– A więc ukrywasz coś przed nami? – Bill Marvin usiłował coś dojrzeć, wykręcając głowę do tyłu.

– Proszę cię – błagała zarumieniona Kyla. – Wszystko wyjaśnię, jeśli się odwrócisz i zaczniesz zachowywać się normalnie.

Posłuchał i oto osiem par oczu spojrzało na nią wyczekująco.

– No, dobrze – powiedziała, zdobywając się na wysiłek, by zabrzmiało to zwyczajnie. – Wydaje się, że tam siedzi lekarz Lilian. Prawdopodobnie rozpoznał mnie i dlatego tak się we mnie wpatruje.

– Jest zupełnie sam – zauważyła Mary. – Czy nie powinniśmy poprosić, by się do nas przysiadł? Możemy przynajmniej postawić mu drinka, aby podziękować za opiekę nad Lilian.

– Och, nie – zaprotestowała Kyla. – On nie chce przyjmować podziękowań. To nie ten rodzaj lekarza.

– A ja nie mogę patrzeć, jak ktoś je kolację samotnie – zaprotestował z kolei Bill i wstał.

Chase musiał przyznać, że warto było na nią patrzeć. Nawet z dala, w drugim końcu sali, jej twarz promieniała w świetle gazowych latarni na ścianach, ale to nie był powód, by przysiąść się do nich na kolację. Przede wszystkim nie miał ochoty jeść z grupą turystów, którzy bez skrępowań wycinają bezcenne drzewa dla rozpalenia obozowego ogniska. Nie myśląc o nikim poza sobą, zubożają krajobraz i odrywają chłopów od pracy w polu, by wynajmować ich jako tragarzy. No więc, dlaczego u diabła stał już przy ich stole, przedstawiał się, ścisnął dłonie każdego członka grupy?

– Co za niespodzianka – usłyszał niski, gardłowy głos Kyli Tanner. – Nie

wiedziałam, że pan jest tutaj.

Dotknął jej ręki po raz drugi tego dnia i patrzył na nią. Kłamczucho, pomyślał, widziałś mnie, a ja widziałem ciebie.

Kyla lubiła takie pożegnania na zakończenie każdej wyprawy. Spoglądała wówczas na twarze zebranych wokół stołu, wiedząc, że potrafili zmierzyć się z wysokimi górami, egzotycznym pożywieniem oraz obyczajami, i wyjść z tej próby zwycięsko. Ale dziś nie mogła patrzeć na nich, by nie natknąć się wzrokiem na władcze go doktora Chase'a. Nawet gapiąc się w sufit, nie mogłaby uniknąć słuchania rozmowy.

– Powinien pan widzieć, jak Kyla obiema rękami przeciągała mnie po kładce. Ja posuwałam się przodem, a ona tyłem. Ciągłe mi powtarzała, że dam sobie radę, ale bez niej nie potrafiłabym. Jestem takim tchórzem, a Kyla nie zna strachu – opowiadała jedna z uczestniczek.

Kyla otworzyła usta, by zaprotestować, ale teraz wtrąciła się Elizabeth, nauczycielka.

– Pamiętacie, jak kucharz zatęsknił nagle za domem i zniknął, a Kyla musiała piec sama placki *chapatis* na gorących kamieniach?

– I obracać kozła na rożnie – dodał Bill. – Będzie z niej wspaniała żona dla jakiegoś koczownika.

Kyla wiła się z zakłopotania. Im więcej opowiadano o niej, tym częściej doktor Chase szukał jej wzrokiem. Niedowierzający wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „To niemożliwe, żeby chodziło o ciebie”. Była rada, że grupa zachowała dobre wspomnienia z wyprawy, ale kolacja zaczęła wyglądać nie jak wspólne pożegnanie, ale jak uroczystość „ku czci”. Tęsknie spoglądała w stronę wyjścia, ale oni nie mieli zamiaru kończyć.

– Ona jest najlepszym przewodnikiem po Himalajach – powiedział Marty. – I najbardziej wielkodusznym. Gdy zmiażdżyłem sobie wielki palec u nogi, oddała mi swoją brandy.

– Po to właśnie miałam brandy – wyjaśniła Kyla. – Do celów medycznych. Objęła spojrzeniem stół i spostrzegła, że doktor wpatruje się w nią z dezaprobatą.

– Jeśli mowa o medycynie – dodała szybko – to założę się, że doktor Chase mógłby opowiedzieć różne interesujące historie.

Uśmiechnęła się ukradkiem, gdy wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. Poczuli się nawet trochę winna, widząc jego zakłopotanie, ale powiedziała sobie, że nie przysiadłby się do nich, gdyby nie miał ochoty na towarzystwo.

– Czy pańska rodzina też mieszka tutaj? – zadała bezceremonialne pytanie Mary, a Kyla drgnęła. Mary próbowała się dowiedzieć, czy jest żonaty, więc on mógłby pomyśleć... Och, jakie to ma znaczenie, co on sobie pomyśli?

Chase potrzęsnał przecząco głową.

– Mój ojciec jest lekarzem – wyjaśnił. – Byłby tutaj, gdyby nie prowadził

praktyki i nie musiał utrzymywać matki. Ja jestem szczęśliwy – przerwał i spojrzął na swoje ręce. – Nie mam nikogo na utrzymaniu i żadnych wydatków domowych, więc mogę sobie pozwolić, by robić to, na co mam ochotę.

Żona Billa popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Czy to znaczy, że panu nie płacą?

Wybuchnął śmiechem i Kyla zdziwiona przymknęła oczy.

– Ależ tak – odpowiedział. – Pacjenci płacą, ile mogą. Wczoraj dostałem dwa żywe kurczaki, a przedwczoraj pół kilo masła jaków. Tak więc nie umrę z głodu.

Kyla uśmiechnęła się mimo woli, pozostali śmiali się głośno. Czy ten człowiek, roześmiany i podbijający wdziękiem całą grupę, to ten sam facet, który w szpitalu potraktował ją tak szorstko? Być może miał rozdwojoną jaźń, jak doktor Jekyll i mister Hyde. Tego wieczoru nawet wyglądał inaczej. Ogolił się i bez ciemnych cieni na twarzy sprawiał wrażenie mniej stroskanego, bardziej odprężonego.

– Skąd pan pochodzi? – zagadnęła go Mary.

– Z Kalifornii.

Mary z zachwytem przeniosła wzrok z doktora na Kylę.

– Kyla też jest z Kalifornii. A co to za miejscowość?

– Piedmont.

Mary trąciła Kylę łokciem.

– Czy twój ojciec nie mieszka gdzieś w pobliżu?

– W każdym razie nie w pobliżu Piedmontu. Dzieli nas wiele kilometrów – powiedziała z takim naciskiem, że Mary ze zdziwieniem uniosła brwi.

Kiedy Kyla ziewnęła i zerknęła na zegarek, Bill zaproponował, by wstąpić jeszcze na drinka do „Rum Doodle” i zaprosił również doktora Chase’a.

– Mów do mnie Chase – powiedział lekarz do Billa, ale jego oczy szukały Kyli. – Nepalczycy nie umieją wymówić mojego nazwiska, które brzmi Chasmingham, więc nazywają mnie doktor Chase, ale to jest właściwie moje imię.

Inni mogą sobie nazywać go Chase’em albo inaczej, jeśli mają na to ochotę, ale ona nie zamierza w ogóle zwracać się do niego. Przed restauracją powiedziała grupie dobranoc, gdyż odjeżdżali różnymi taksówkami. Wiedzieli, że musi zadzwonić do kraju, żeby wyjaśnić sprawę Lilian, ale próbowali przekonać ją, by jednak poszła z nimi na drinka.

Kyla odmówiła. Następnego dnia mieli opuścić Katmandu popołudniowym samolotem, więc jeśli nie załatwi niczego dla Lilian, nie będzie mogła zabrać się z nimi. To znaczyłoby, że nie zdąży wrócić do Kalifornii i złapać uczestników splotu po Jangcy.

Nie wiedziała, czy Chase wybiera się z nimi do „Rum Doodle”, ale powiedziała sobie, że nic ją to nie obchodzi. Zostawiła go stojącego na chodniku, z rękami w kieszeniach, patrzącego na nią krzywym okiem.

Personel agencji odnalazł kartę rejestracyjną Lilian i podany na wypadek nieszczęścia numer telefonu jej brata w Bangor w stanie Maine. Mieli zadzwonić do niego i potem połączyć się znów z Kylą. Jednakże po godzinie dowiedziała się, że brat Lilian jest siedemdziesięcioletnim chorym na rozedmnę płuc. Czy Kyla mogłaby tam pozostać, dopóki nie wyślą kogoś innego? Mogliby znaleźć kogoś, kto zastąpiłby ją na wyprawie do Chin. Poczula taki żal i tak mocno zaciskała palce na słuchawce, że gdy ją odłożyła, były już całkiem zdrętwiałe. Musiała więc zostać tutaj, w dolinie zasnutej smogiem, zatłoczonej pielgrzymami i turystami, gdy tymczasem wzywały ją do siebie góry i rzeki świata.

Dla kogoś innego kilkudniowe oczekiwanie byłoby zwykłą niedogodnością, ale Kyla traktowała każdy dzień jak dar. Od śmierci matki nic nie wydawało się jej pewne. Chciała jak najpełniej przeżyć każdą chwilę. Zaś ugrzęźnięcie w Katmandu nie było życiem, lecz przerwą w życiorysie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Kyla stanęła przed obdrapanym budynkiem szpitalnym, była dopiero dziewiąta rano. Po nie przespanej nocy nie miała chęci na nowe starcie z Chase'em. O północy znów rozmawiała z amerykańskim biurem „Podróży z przygodami”, a potem długo żegnała się z grupą, popijając drinki w pokoju Mary.

Dowiedziała się, choć wydawało się to jej nieprawdopodobne, że Chase poszedł z nimi do restauracji „Rum Doodle”.

– Mam wrażenie, że on jest samotny – zauważyła Mary, podając Kyli szklankę chińskiego piwa. – Pytał o ciebie – dodała z błyskiem w oku.

– Akurat. Czy nie nasłuchiwał się o mnie dość w czasie kolacji? O co pytał? Kiedy wyjeżdżam?

– Kiedy, dlaczego i dokąd – potwierdziła z satysfakcją Mary.

– Mam nadzieję, że powiedziałaś mu, iż mam obowiązki zawodowe i że wyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła, jeśli to byłoby dla niego pociechą.

Mary uśmiechnęła się.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, jak on wygląda?

– W ogóle nie zauważyłam, jak wygląda – zapewniła.

Mary skrzywiła się niedowierzająco.

– Jeśli powiesz, że nie widziałas, iż jego oczy mogą stopić śniegi Annapurny, uznam cię za beznadziejny przypadek. – Wzięła się pod boki. – No, Kילו, na co czekasz? Na kogo czekasz? Czy kogoś zostawiłaś w domu?

– Nie ma nikogo ani tam, ani gdziekolwiek indziej. Praca jest całym moim życiem i to mi całkowicie odpowiada.

Kilka minut potem pożegnała się z grupą i wróciła do pokoju.

Stojąc teraz w ulicznym kurzu przed szpitalem, spoglądała, na oddalone białe szczyty, wznoszące się ponad zielonymi wzgórzami i próbowała nie rozczulać się nad sobą. Jak mogła czuć litość dla siebie, gdy Lilian leżała bezradna w tym szpitalu? Góry będą istnieć i jutro, i za tydzień, a ona będzie jeszcze mogła uprawiać wspinaczkę. Jeśli musiała zrezygnować z dzisiejszego lotu, to w przyszłym tygodniu może spotkać swoją nową grupę w Pekinie. Jak tylko wróci ze szpitala, sprawdzi rozkład lotów.

Poczekalnia była znów przepelniona. Ta sama kobieta w dyżurce rzuciła Kyli chłodne, taksujące spojrzenie. Może nie rozpoznała jej w osobie umytej i uczesanej? Wreszcie skierowała, ją na oddział kobiecy. Ostry zapach środków odkażających zaatakował nozdrza Kyli i przywołał wspomnienia innych szpitali i innych chorób, zbyt bolesne, by o nich myśleć. Chciała się odwrócić i wybiec na świeże powietrze, ale kiedy odchyliła cienką zasłonę przy łóżku Lilian poczuła wyrzuty sumienia. Jak mogła nawet pomyśleć o opuszczeniu jej?

Postawiła plecioną torbę w nogach łóżka i wyjęła kiść małych, słodkich bananów, torebkę migdałów i kilka magazynów z hotelowego kiosku.

– Kiedy będę mogła wyjść? – spytała niecierpliwie Lilian.

Kyla nie miała serca powiedzieć jej, że rzeczywisty problem polegał raczej na tym, jak długo będzie mogła tu pozostać.

– Postaram się dowiedzieć, gdy tylko znajdę doktora.

– Był tutaj wczesnym rankiem z innym lekarzem, ale zadał tyle pytań na temat mojego kręgosłupa, że zapomniałam, o co chciałam go sama zapytać.

A więc, choć nie akceptował pobytu Lilian w szpitalu, nie ignorował jej, i mimo że wczoraj przebywał do późna z turystami, pracował już od kilku godzin, w czasie gdy Kyla kąpała się i leniwie jadła śniadanie. Szlachetny doktor Chase, nawet nie będąc w pobliżu, potrafił sprawić, że poczuła się zawstydzona.

– Co o nim sądzisz? – Kyla usiadła ostrożnie na brzegu łóżka.

– Jest wspaniały – Lilian oparła się na poduszce. – Obejrzał moje plecy i wyjaśnił mi wszystko na temat kręgosłupa – sięgnęła po kawałek papieru, leżący na stoliku przy łóżku. – Zrobił mi nawet rysunek mojego dysku. Mamy szczęście, że dostałyśmy się tutaj, Kyla. Mamy szczęście, że on tu jest.

Kyla przytaknęła i ułożyła Lilian w wygodniejszej pozycji. Szczęście? – zastanawiała się, idąc przez hol do sali operacyjnej w poszukiwaniu „wspaniałego” lekarza Lilian. Hinduski bóg Wisznu nigdy by się z tym nie zgodził. Powiedziałby, że to przeznaczenie.

Na porannym zebraniu personelu Chase stwierdził z zaskoczeniem, że żaden z lekarzy nepalskich nie sprzeciwił się przyjęciu amerykańskiej pacjentki, zwłaszcza gdy usłyszeli o pieniądzach z ubezpieczenia i o możliwości obdarowania szpitala. Nie mógł ich potępić za omijanie

oficjalnych przepisów i za to, że brakowało im wszystkiego. Żałował, że wczoraj rozmawiał z Kylą tak zasadniczo.

Zirytował go sposób, w jaki się pojawiła i próbowała kupić szczególnie przywileje. Sądził, że przyjeżdżając do Nepalu nie będzie już miał do czynienia z takim gatunkiem kobiet. Cieszył się też, że porzucił dawny świat. Był zadowolony z pracy, jaką tu wykonywał, zżył się z ludźmi tej doliny. I nagle ona wkroczyła do szpitala i zburzyła jego dobre samopoczucie... Ale dlaczego?

Trzy pielęgniarki wyjechały do domu na święto Dasain, toteż każda operacja katarakty trwała dwukrotnie dłużej. Kiedy wreszcie skończył czwartą i wyszedł do holu okazało się, że Kyla Tanner czeka na niego.

Wczoraj, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, okutaną w wiele warstw turystycznego ubrania, pokrytą czerwonym gliniastym pyłem, nie przypuszczał, że może wyglądać na tak kruchą i wrażliwą. Ale teraz, gdy wyprostowana podeszła do niego, odczuł irracjonalną chęć porwania jej w ramiona i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

– Ona może tu zostać – odpowiedział szorstko na pytanie Kyli, zanim zdążyła je zadać. – Ale tylko wówczas, jeśli zgodzi się, pani robić to, co rodziny innych pacjentów.

– Oczywiście – wpatrzyła się w niego szarymi oczyma.

– Rodziny przynoszą jedzenie, ponieważ nie mamy tu kuchni, i pielęgnują pacjentów, zwłaszcza teraz, w okresie świątecznym, bo jutro wszystkie pielęgniarki odejdą, by spędzić święta w domu.

– Będę robić, co trzeba, dopóki tu zostanę – obiecała tak szybko, że zorientował się, iż nie ma zielonego pojęcia, na co się godzi.

– A jak długo to potrwa?

– Dopóki agencja turystyczna nie znajdzie kogoś na moje miejsce – spojrzała na zegarek. – Na przyszły tydzień mam zaplanowany spływ tratwami w Chinach.

Rzucił okiem na swój zegarek.

– A ja mam zaplanowane za pięć minut usunięcie następnej katarakty. A potem jeszcze jednej. Jestem już spóźniony, a nikogo nie mam do pomocy – popatrzył na nią znowu. – Powiedziała pani, że zrobi, co trzeba... – zaważał się.

– Tak, oczywiście.

– Potrzebna mi pomoc na sali operacyjnej.

Żachnęła się zaskoczona, ale chwycił ją za ręce i trzymał mocno.

– Grupa uważa, że pani jest osobą nieustraszoną i może zrobić wszystko.

– Nie, nie jestem i nie mogę. Poza tym nie umiałabym. To wymaga specjalnego przygotowania.

– Nie potrzebuje pani przygotowania, ale pewnej ręki – powiedział, zdając sobie sprawę, że wciąż trzyma jej dłoń: ciepłe, silne i zręczne.

– Kłopot w tym, że nie mam pewnej ręki i nie znoszę widoku krwi. Mogłabym zemdleć albo zwymiotować.

– E tam, proszę nie mówić, że nie widziała pani krwi przedtem albo w czasie wyprawy. Nie wygląda pani na taką mimozę.

– Oczywiście, że widziałam krew. To do szpitali mam wstręt. Nienawidzę ich. Przykro mi. Chciałabym panu pomóc, ale nie mogę.

Pomyślał, że wielu ludzi nie znosi szpitali. Nie cierpią zapachu i widoku chorych tak bardzo, że nie chcą się do nich zbliżyć nawet po to, by odwiedzić przyjaciół i krewnych. Czy Kyla Tanner była podobnym typem? Wszystko jedno, potrzebował jej. Chwyił ją silniej i szorstko przyciągnął do siebie.

– Są tam ludzie, którzy nie widzą i czekają, bym przywrócił im wzrok. Czy pani odwróci się od nich? Proszę tylko, aby pani podawała mi narzędzia. Nie musi pani patrzeć na pacjentów.

– Dobrze – szepnęła, i wtedy ją puścił.

– Wszystko pójdzie świetnie – uspokajał ją. – Pokażę pani, gdzie można wyszorować się i przebrać, a także powiem, co robić.

Kilka minut potem niemal zmienił zdanie, widząc nad zieloną maską jej przerażone, szeroko otwarte oczy.

Palce Kyli w gumowych rękawiczkach zlodowaciały. Wolałaby wspinać się na północną ścianę Mount Everestu, niż patrzeć na skalpel. Tylko rozkazujące spojrzenie ciemnych oczu Chase'a trzymało ją na sali operacyjnej i sprawiało, że zamiast wycofać się za drzwi, podeszła do stołu, na którym leżał pacjent przykryty zielonym prześcieradłem. Narzędzia rozłożone były obok i pod kierunkiem lekarza podawała je tak mechanicznie, jak robot. Powtarzała sobie, że nie powinna patrzeć.

Po zabiegu wyszła za Chase'em z sali operacyjnej. Ręce, które nie drżały w czasie pracy, teraz zaczęły trząść się tak silnie, że z trudem mogła ściągnąć obcisłe rękawiczki. Lekarz obserwował ją znad umywalki.

– Nie było tak strasznie, prawda?

– Nie, nie – odparła bez tchu. – Pan jest bardzo dobry.

– Oboje byliśmy nieźli.

Zdjął maskę i czapkę. Przyjrzała mu się, jakby go dotąd jeszcze nie widziała. Niemał przebaczyła mu, że był taki władczy. Nic dziwnego, że lekarze uważają się za bogów. Dokonują cudów.

W milczeniu myli razem ręce. Potem ujął ją za ramię.

– Proszę wyjść ze mną na dziedziniec. Chcę pani pokazać przykład tego, co przed chwilą zdziałaliśmy.

Na rozległym podwórzu za szpitalem rozstawione były płócienne namioty, a pod drzewami duże grupy pacjentów i ich rodzin jadły posiłek przy nieheblowanych stołach. Chase zaprowadził Kylę do jednego z tych stołów i przedstawił jej mężczyznę z gazowym bandażem na jednym oku.

– Pan Amatya był operowany w zeszłym tygodniu: Nie widział na lewe oko.

Jego rodzina czeka tutaj, by zabrać go do domu. Obiecałem, że przyjdę i zdejmę mu bandaż tak szybko, jak tylko będę mógł.

Rodzina Amaty przyglądała się wyczekująco Chase'owi, który usiadł przy pacjencie na drewnianej ławie i ostrożnie usunął opatrunek. W zupełnej ciszy pan Amaty mrugał oczyma. Zmarszczył twarz w nieśmiałym uśmiechu. Popatrzył na swego lekarza, a gdy Chase skinął zachęcająco, rozejrzał się dookoła. Jego uśmiech stał się pewniejszy, a krewni otoczyli go śmiejąc się i płacząc.

Kyla odwróciła się, by ukryć łzy.

– Dlatego właśnie chyba warto to robić, prawda? – zapytał Chase.

Przytaknęła.

– Ten wyraz jego twarzy...

– Czy pomoże mi pani jeszcze?

– Teraz?

– Nie, jutro, skoro pani i tak będzie tutaj.

Jutro. Wszystko mogłaby zrobić jutro, jeśli tu wciąż jeszcze będzie.

– Tak, jeśli pan będzie mnie potrzebował.

– Będę pani potrzebował – przestał się uśmiechać, stał się znów poważny.

Spędziły z Lilian popołudnie, rozważając sposoby przewiezienia jej do domu, gdy nadejdzie czas, chociaż Chase uprzedzał, że minie prawdopodobnie kilka tygodni, zanim będzie można przewieźć ją bezpiecznie. Gdy Kyla wychodziła, poczekalnia już opustoszała. Nie widać było ani pacjentów, ani lekarza. Spojrzała w kierunku sali operacyjnej, ale recepcjonistka odpowiedziała na jej nieme pytanie.

– Doktor już wyszedł.

W hotelu zadzwoniła do „Podróży z przygodami”, gdzie oznajmiono jej to, co w głębi serca przeczuwała. Nie znalazł się nikt, kto mógłby przyjechać do Katmandu i zająć w szpitalu miejsce przy Lilian. Natomiast ktoś inny poprowadzi grupę chińską, a ona, pozostając tutaj, otrzyma pełne wynagrodzenie.

Zmusiła się do wyjścia na kolację, chociaż nie miała apetytu. Opuszczając małą restaurację, w której nic jej nie smakowało, wsunęła garść miedziaków w rękę żebraka. Wysoko w górach nigdy nie czuła się samotna, ale tutaj, wśród tłumów zagranicznych turystów i mieszkańców stolicy, była tak wyobcowana, jak uchodźcy z Tybetu, którzy codziennie napływali do miasta. By nie wracać do czterech ścian hotelowego pokoju, poszła wąskimi uliczkami, mijając stragany z dywanami, ziołami, drewnianymi rzeźbami.

Wpadła na biznesmena z teczką i przeszła obok kobiety, prowadzącej byka udekorowanego girlandą z kwiatów. Powietrze było ciężkie od smogu i zapachów czosnku oraz imbiru zmieszanych z ostrą wonią masła jaków. Gdy skręciła w zaułek, chcąc uniknąć autobusowych spalin, potknęła się nagle o

krawężnik. Serce podeszło jej do gardła, zamarła z przerażenia. Czy to potknięcie jest pierwszym objawem końca? Zmusiła się do dalszego marszu.

Kocie łby, rynsztoki, włazy do kanałów – wszystko stanowiło przeszkodę w drodze, ale gdy odzyskała pewność ruchów, powoli wróciła jej wiara w siebie. Kiedy wreszcie spostrzegła światła hotelu, odczuła tak wielką ulgę, że zapomniała o zmartwieniu z powodu postoju w Katmandu. Wyczerpana długą wólczą zapadła w głęboki sen.

W jej śnie chirurg w zielonej masce, ze skalpelem, pochylał się nad pacjentką i mówił, że nie będzie leczył cudzoziemców. Kyla zdała sobie sprawę, że to ona sama jest pacjentką, leżącą pod prześcieradłem na stole operacyjnym. Próbowiła krzyknąć i zerwać przykrycie. Chciała mu powiedzieć, że się myli, że ona nie jest chora i nie potrzebuje lekarza, ale słowa uwięzły jej w krtani. Obudziła się zlna zimnym potem, zaplątana w prześcieradła hotelowego łóżka.

Wzięła prysznic, ubrała się szybko i wstąpiła do kawiarni po dwa zestawy śniadaniowe w zachodnim stylu, a potem pojechała taksówką do szpitala. Starannie ustawiła śniadanie dla Lilian na metalowej tacy i znowu zawstydziła się swojej niecierpliwości. Raz jeszcze musiała wysłuchać żarliwych pochwał wspaniałego doktora, który zatrzymał się, by obejrzeć pacjentkę w czasie porannego obchodu.

– Powiedział, że wczoraj ogromnie mu pomogłaś. A ja odparłam, że wcale nie jestem zaskoczona. Przewodnicy turystyczni powinni umieć poradzić sobie ze wszystkim. Wiem, bo sama kiedyś byłam jedną z nich. Ale ty jesteś najlepsza, Kyla, najlepsza w tym zawodzie. Każdy tak mówi. I dlatego każdy chce wędrować z tobą.

Kyla wpatrywała się w swoją grzanekę.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś tego wszystkiego doktorowi Chase’owi.

– Ależ oczywiście, że tak. Był bardzo zainteresowany.

Lilian poruszyła się i wzdrygnęła z bólu. Kyla pochyliła się nad nią z wyrazem niepokoju. Chora posłała jej słaby, ale uspokajający uśmiech.

– Jeszcze trochę, a powiesz mu, że jestem nieustraszona.

– Nie. Wyobrażam sobie, że każdy czegoś się boi, nawet ty.

Kyla usadowiła Lilian w możliwie najwygodniejszej pozycji i szybko poszła korytarzem do sali operacyjnej. Być może wszyscy czegoś się boją, ale to coś nie chodzi za nimi krok w krok, zaglądając im przez ramię tak, że czują jego oddech na plecach. Za każdym razem, gdy się zająknęła albo potknęła, jak ostatniego wieczoru, przerażenie rosło i miała wrażenie, że całkowicie nią zawładnie.

Zatrzymała się nagle. Chase stał przed wahadłowymi drzwiami sali operacyjnej ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc na nią spode łba, zupełnie jak w jej śnie.

– Spóźniła się pani.

Skrzywiła się. Niezależnie od tego, ile miłych rzeczy opowiedziałaby Lilian na jej temat, on wciąż myślał o niej jak o kimś zobowiązanym do wypełniania jego rozkazów.

– Przykro mi – powiedziała ze sztuczną uprzejmością. – Ale kiedy pan mnie prosił, żebym przysłała dzisiaj, nie określił pan godziny.

– Określam ją teraz. Zaczynamy o szóstej trzydzieści – przytrzymał jej drzwi i skłonił do zajęcia miejsca przy umywalce. Stała bezradnie z wyciągniętymi ramionami, podczas gdy on nakładał na nią zielony fartuch i zawiązywał paski.

Kątem oka obserwowała, jak się myje.

– Od której jest pan tutaj? – spytała lekkim tonem.

– Od szóstej trzydzieści.

– Dobrze. Jutro przyjdę o tej porze.

– To nie będzie łatwe, jeśli będzie pani wysiadująca z turystami w nocnych barach.

Z wściekłością odłożyła mydło.

– Nie wysiaduję w barach z nikim... To pan poszedł wtedy do „Rum Doodle”, nie ja.

Zmrużył oczy, ale dalej mył ręce.

– W takim razie, gdzie pani była wczoraj wieczorem?

Opuściła mokre ręce, zbyt zaskoczona, by się odezwać.

– Przyszedłem do hotelu, a pani nie było – wyjaśnił.

– Nie wiedziałam. Czy pan zostawił wiadomość?

– Nie, chciałem porozmawiać z panią.

Kyla nie byłaby bardziej zdumiona, gdyby Dalaj Lama wpadł do niej na pogawędkę.

– Dziś wieczorem będę w hotelu – zaproponowała. Ciekawość przeważała nad pragnieniem oświadczenia mu, że nie ma prawa kontrolować także i jej nocnego życia.

– Około ósmej?

Przytaknęła. Ktoś inny, samotny w dużym obcym mieście, zaprosiłby ją na kolację, ale ten człowiek nie był taki jak wszyscy. Nie mogła odgadnąć, o czym chciał z nią mówić. Chyba że o Lilian. Dlaczego jednak nie mogli rozmawiać o niej tutaj? Gdy suszyli ręce, Chase opowiadał o pacjencie, który czekał na nich. Tybetański wygnaniec z pobliskiego Patanu, starzec, który stracił większość bliskich podczas trzyletniej ucieczki przed okupacyjną armią chińską, a sam oślepl. Mimo to prowadził sklep z dywanami, nadzorując dwunastu tkaczy z pomocą żony i starszego syna.

Operacja przebiegała gładko. Chase wskazywał potrzebne narzędzia, jednocześnie mówiąc jej, jak się nazywają. Ale wyczuwała jego niecierpliwość, gdy się zaważała, więc starała się pracować szybciej. Zaczęła

uważać na jego ręce, podziwiając ich pewne ruchy. Było to lepsze, niż patrzeć mu w oczy, kiedy za każdym razem coraz trudniej przychodziło jej odwrócić wzrok.

Wieczorem Kyla powtarzała sobie, że czekając na Chase'a powinna coś zjeść, ale jej żołądek kurczył się z niewytłumaczalnego zdenerwowania. Czuła się tak, jakby szła na swoją pierwszą randkę, a tymczasem miała to być rozmowa na tematy medyczne. W Katmandu wieczory paździenikowe były łagodne, więc Kyla ubrała się starannie w jaskrawoczerwoną chłopską spódnicę z samodziału i jasnoróżową jedwabną bluzkę, odpowiednią do jej karnacji. Mając sobie za złe własną próżność, poszła poszukać dzinsów. Rozległo się pukanie do drzwi, więc zamknęła szafę.

W skromnej Inianej marynarce Chase wydawał się wyższy i bardziej barczysty. Zaskokował ją widok jego twarzy pozbawionej zwykłej, zielonej maski. Chyba i on zapomniał, jak Kyla wygląda. Mierzył ją wzrokiem, od skórzanych sandałów po kręcone włosy. Nie odzywali się przez dłuższą chwilę. Wreszcie przerwał milczenie.

– Moglibyśmy zjeść coś w hotelu „Vasera”, jeśli zgodziłaby się pani wyjechać z miasta.

– Zjeść kolację?

– Tak. A może pani już jadła?

– Nie, ale pan nie mówił... Pan powiedział, że chce porozmawiać ze mną.

– Możemy tam porozmawiać. Nie jest to wprawdzie miejsce dla turystów... – ton jego głosu świadczył, że to właśnie mu odpowiadało.

– W porządku – zapewniła. – Ale co pan ma przeciwko turystom? – spytała, gdy czekali na taksówkę.

Nie odpowiadał, dopóki nie przebili się przez zatłoczone ulice, przejeżdżając przez rzekę do Swayambula.

– Proszę się rozejrzeć, a zobaczy pani, co turyści zrobili z Katmandu: ruch, hałas, smog. Niech pani sobie wyobrazi, jak ta dolina wyglądała pięćdziesiąt, a nawet dwadzieścia pięć lat temu.

– A pieniądze, które przywożą turyści? Czy pan nie sądzi, że wspomagają gospodarkę? Kto by kupował dywany, rzeźby, tkaniny? – przesunęła palcami po miękkiej wełnianej spódnicy, a potem wcisnęła się w kąt tylnego siedzenia, najdalej jak mogła od doktora Chase'a.

– Pewnie, kupujecie towary, ale płacicie więcej niż miejscowa ludność, toteż ceny idą w górę, a to wywołuje inflację.

– Miejscowa ludność prowadzi handel wymienny – zaoponowała. – A zresztą tragarze, którzy dla nas pracują, wracają z pieniędzmi do swoich wiosek.

– No, dobrze – przytaknął, zaciskając usta. – Nie zabrałem przecież pani tutaj, by klócić się o ekonomię.

– Więc dlaczego mnie pan tu zabrał? – spytała niecierpliwie, gdy taksówka zatrzymała się przed starym hotelem „Vasera”.

To on rozpoczął sprzeczkę. Teraz najwidoczniej chciał ją przerwać, ale nie wiedział jak.

Kiedy usiedli w wielkiej jadalni, pod sufitem pokrytym kunsztownymi złotymi wizerunkami Buddy, zamówienie przyjął, pochylony nisko nad ich stolikiem, maitre d’hotel w turbanie. Wciąż jednak jej pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Na ścianach płonęły świece w kinkietach, na każdym stoliku stały świeże kwiaty. Skądś z tyłu dobiegała muzyka gamelanów i innych instrumentów strunowych, dźwięcząca jak himalajskie wiatry.

– Biorę udział w akcji pomocy. Zapoczątkowali ją dziesięć lat temu społecznicy, przyjaciele mojej rodziny. Dlatego o tym usłyszałem. Ich celem jest likwidacja ślepoty w Nepalu.

Czy chciał sprawić, by poczuła się małą egoistką, gdyż nie zmierzała do tak wzniosłego celu?

– Chciałem podziękować za pani pomoc. Właściwie nie miałem prawa prosić o nią, ale byłem w rozpaczliwym położeniu. Dzięki pani sytuacja się poprawiła... bardzo poprawiła.

Wyczuła nieoczekiwane ciepło w jego słowach, ale nie chciała przypisywać podziękowaniom większego znaczenia. A więc to wszystko. Zabrał ją na kolację, by podziękować. Nie było żadnego powodu, by jej serce aż tak drżało.

– W porządku. Nie było tak źle, jak się obawiałam – odrzekła szybko.

– Tworzymy dobry zespół – zauważył, patrząc jej głęboko w oczy.

Poczuła, że palą ją policzki, i odwróciła się do muzyków w rogu, chcąc za wszelką cenę przerwać wymianę spojrzeń.

– Katarakty stanowią około dwóch trzecich przypadków ślepoty w Nepalu.

– A co z pozostałą jedną trzecią?

– Różnie. Przeważnie są to skutki zapalenia rogówki. Jeden procent to choroba zwana kseroftalmią, która martwi mnie najbardziej.

– Dlaczego, skoro to tylko jeden procent?

– Ponieważ atakuje dzieci poniżej sześciu lat, u których ślepotą potrwają najdłużej – mówił spokojnie, ale zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

– Nigdy nie widziałam dzieci w pańskim szpitalu – zauważyła.

– Ponieważ nie ma na to lekarstwa. Ale na szczęście łatwo temu zapobiec przy pomocy witamin i jarzyn.

Przerwał, a ona czekała. Jaki to miało z nią związek? A może prowadził po prostu zwykłą konwersację?

– Jarzyny nie zawsze są dostępne, ale witaminy tak. Chcę dostarczyć tabletki witaminy A do regionów, gdzie ta choroba ma charakter epidemiologiczny. Czy była pani kiedyś w dolinie Manang?

– Tak. Raz poprowadziłam tam wycieczkę. Piękne miejsce. To jest między

Annapurną a Krysztalową Górą – wpatrzyła się w dal, wspominając wioski i kamienne domki.

– Jaką drogę pani wybrała? – pochylił się ku niej. Jego oczy zabłyśły.

– Przez dolinę rzeki Marysandi, ale taka wyprawa musi trwać razem z powrotem dwadzieścia cztery dni. Przynajmniej tak było, gdy prowadziłam swoją grupę.

– Owszem, słyszałam. Szpital wynajął mi przewodnika. Mamy zamiar wyruszyć za parę tygodni. Nie było łatwo kogoś znaleźć. To okres świąteczny i każdy chce być w domu. Ale myślę, że w końcu się uda.

Kyla widziała, jak uśmiech zmienia jego twarz i uśmiechnęła się także.

– To wspaniale.

– Kiedy pani będzie wiosłować po Jangcy, ja będę się wspinał na jakąś zaśnieżoną przełęcz. – Napił się wina i odstawił szklankę. – Co pani chce robić w życiu?

Bała się, że właśnie o coś takiego ją zapyta. Cokolwiek by mu odpowiedziała, zabrzmiałoby niepoważnie w porównaniu z akcją zapobiegania ślepotcie dzieci. Nie mogła przyznać się, że próbuje prześcignąć czas...

– Ja? Ja zawsze czekam na następną przygodę, ale nie snuję wielkich planów na przyszłość. I dobrze, że tak nie robię, bo byłabym teraz bardzo zawiedziona, tkwiąc przez cały ten czas w Katmandu. A tak...

– Jest pani niespokojna i zniecierpliwiona – powiedział z uśmiechem. W jego głosie usłyszała ton lekkiej krytyki.

– Czy to widać? – spytała zmartwiona.

– A co jest takiego złego w Katmandu? – odpowiedział pytaniem.

– Właśnie to, o czym pan mówił. Jest zatłoczone, zanieczyszczone i hałaśliwe. Ale jeśli się pan wybierze na wspinaczkę i znajdzie w wysokich górach, na świeżym powietrzu... – urwała, uświadamiając sobie, że takie właśnie miał zamiary.

– Jednak miasto jest fascynujące. To skrzyżowanie dróg. Spotyka się tu wszystko i wszystkich. Widziała pani świątynię Nyatopola?

– Nie. Nigdy przedtem nie przebywałam długo w Katmandu.

– A świątynia Sziwy, pałac królewski?

– Nie widziałam.

– A pagody z rzeźbami erotycznymi?

– Nie widziałam.

Chase potrząsnął głową w udanej rozpacz.

– Powinna pani coś zobaczyć, skoro już pani tu utkwiła.

– Tak sądzę – potwierdziła. – Ale nie mam zamiaru bawić się w turystkę.

– Mogę polecić dobrego przewodnika – uśmiechnął się skromnie. – Siebie.

– Och, nie – zaprzeczyła. – Pan jest zbyt zajęty. Nie mogłabym na to pozwolić.

– Ależ z pewnością mogłaby pani, choć nie jestem tak dobry jak pani. Grupa twierdziła, że jest pani najlepszym przewodnikiem po Himalajach.

– Pan chyba w to nie wierzy. Po wyprawie wszyscy turyści myślą tak o swoim przewodniku. Są urzeczeni minionym blaskiem tego jedynego w ich życiu doświadczenia. Uważają, że jesteś wspaniały. Nawet się w tobie trochę podkochują. Pamiętają tylko dobre chwile. Zapominają, że kazałeś im maszerować jeszcze dodatkowe kilometry albo spać z owcami.

– No cóż, nie mógłbym zrobić niczego takiego.

– Spać z owcami?

– Podkochiwać się w przewodniku.

Chase zafascynowany obserwował jej rumieńce. Weź się w garść, Cunningham. Dostyc gapienia się na nią w ten sposób. Przywiozłeś ją tutaj, by podziękować za pomoc – zwyczajny gest zwyczajnej uprzejmości. Lecz to, co czuł w tej chwili, wcale nie było zwyczajne. Przynajmniej dla niego.

– Nie przypuszczałam, że pan mógłby – zaprotestowała. – Cóż – zamknęła dyskusję – to była miła kolacja. Muszę jutro wstać wcześniej, żeby zdążyć do pracy.

Gdy wychodzili z restauracji, położył delikatnie rękę na jej ramieniu.

– Pani szef musi być tyranem.

Rzuciła na niego badawcze spojrzenie, jak gdyby się zastanawiała.

– Powiedzmy, że to człowiek bardzo zdecydowany.

Chase mówił sobie, że trzeba się wycofać i nie nalegać na oprowadzanie jej po mieście. Powinien dać jej czas, by go poznała, przekonała się, że nie jest despotą i ma pewne zalety. Gdy w hotelu wprowadził ją do holu, miała tak nieprzenikniony wyraz twarzy, że zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o niej. Nie umiał odgadnąć, co dzieje się za tym gładkim czołem. Wyobraził sobie, że była już w drodze do Chin, oddalona o setki kilometrów stąd, gdy tymczasem on wciąż czekał w dolinie. I to sprawiło, że poczuł w duszy pustkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rano Kyla miała już ukształtowany obraz Chase'a. Był fanatykiem swojej misji i nikomu nie pozwoliłby przeszkodzić w realizacji swego powołania – walki ze ślepotą w Nepalu. Atrakcyjny mężczyzna, szlachetne zadanie, ale Kyla nie chciała mieszać się w te sprawy.

Misja była, oczywiście, godna uwagi, Kyla wszakże miała własne marzenia. Najważniejsze to wydostać się z Katmandu i pójść swoją drogą. Kiedy o wpół do siódmej myła ręce przed zabiegiem, myślała wciąż jeszcze o wysuniętej przez doktora propozycji oprowadzenia jej po mieście i o tym, jak go zniechęcić do ponownego wystąpienia z tym projektem.

Chase niewiele mówił, dopóki w południe nie skończyli pracy. Dogonił ją, gdy szła na oddział kobiecy.

– Pan Wangchen chce się z panią zobaczyć.

– Kto taki?

– Staruszek, uchodźca tybetański, którego operowałem w drugim dniu pani pobytu. Wychodzi dzisiaj i pragnie pani podziękować.

Ociągając się, poszła za nim na dziedziniec. Mały człowieczek z okrągłą twarzą i wystającymi kośćmi policzkowymi wysunął się z otaczającego go tłumu i złożył ręce w geście tradycyjnego pozdrowienia. Kyla także złożyła ręce.

– *Namaste* – szepnęła, co znaczy „pozdrawiam dobroć w tobie”.

Pan Wangchen zwrócił się do swego nastoletniego syna i powiedział coś szybko po tybetańsku. Syn, speszony, uśmiechnął się do Kyli.

– Mój ojciec chce zaprosić na sobotę panią i swego doktora do naszego domu.

Kyla spojrzała pytająco na Chase'a. Wzruszył ramionami, jakby nie obchodziło go, czy ona się zgodzi, czy nie.

– Sądzę, że byłoby dla pani interesujące zobaczyć, jak żyją uchodźcy i jak się wyrabia dywany – zasugerował jednak.

– Dobrze, zgoda – zwróciła się do syna. – Z przyjemnością przyjdę.

Chłopiec przetłumaczył jej odpowiedź, a rodzina uśmiechnęła się i zaczęła rozmawiać między sobą. Chase otworzył przed Kylą drzwi szpitala.

– Mieszkają w Patanie. Wstyd byłoby nie obejrzeć jednego z najpiękniejszych klasztorów buddyjskich Nepalu.

– Nie mogę pozwolić, żeby pan pokazywał mi dolinę – oponowała.

– Jeden klasztor to nie cała dolina – sprzeciwił się łagodnie.

Kyla nie odpowiedziała. Czuła, że zaczyna bezradnie ulegać silnej woli Chase'a. Wyglądało na to, że tak czy inaczej zostanie jej przewodnikiem po Katmandu.

– Czy ten klasztor jest po drodze? – spytała, choć już знаła odpowiedź.

Skinął głową potwierdzająco.

– Zabiorę panią w sobotę o dziesiątej rano.

Kyla chciała powiedzieć, że to o wiele za wcześnie, ale wzrok jej przyciągnęła pacjentka na wózku. Ramiona kobiety drgały spazmatycznie, a głowa trzęsła się gwałtownie. Usiłowała mówić, ale słowa wychodziły z jej ust zniekształcone. Chase pochylał się, by ją wysłuchać, a Kyli ten widok zmroził krew w żyłach. Pragnęła uciec, ale musiała stać i patrzeć, znieruchomiała, jakby wrośnięta w ziemię. Scena była przerażająca, a kiedyś miała nadzieję, że nigdy już nie będzie musiała tego oglądać. Chase spojrzał na nią z niepokojem w oczach.

– Co się stało?

– Na co ona cierpi? – zdołała wyszeptać Kyla.

– Nie wiem. To nie moja pacjentka.

Kyli udało się przebrnąć przez to popołudnie. Przyniosła Lilian jedzenie i załatwiła dla niej parę sprawunków. Pisały razem karty pocztowe do kraju. Ręce Kyli przestały wreszcie drżeć i Lilian nie zauważyła, że trudno jej się było skupić.

Oczywiście ta kobieta nie musiała mieć płasawicy, ale objawy były takie same. Objawy dobrze znane, wyryte w jej pamięci, których bała się tak bardzo, że powracały do niej w koszmarach: na początku skurcze, potykanie się, jąkanie, a przy końcu całkowita niezdolność do kontrolowania swoich ruchów.

Nigdy już nie zobaczyła kobiety na wózku, ale wciąż o niej pamiętała. W sobotę tak rozpaczliwie pragnęła myśleć o czymś innym, że z ulgą o dziesiątej rano spostrzegła w drzwiach Chase'a. Miał na sobie koszulę w paski i granatowy blezer, wystrzępiony przy mankietach. Ze zwykłą

pewnością siebie wkroczył do pokoju i bez zaproszenia usiadł na brzegu łóżka. Tryskał energią, a jego oczy rzucały jej wyzwanie.

– Co pani wie o chorobie Huntingtona, o płasawicy?

– Nic. A dlaczego pan pyta? – Kyla odetchnęła gwałtownie i zeszywniała.

– Ponieważ cierpiała na to kobieta na wózku.

– Nie wiedziałam.

Przyglądał jej się dłuższą chwilę, aż poczuła, że się czerwieni pod badawczym spojrzeniem. Chase podszedł do niej, położył ręce na jej ramionach i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

– Czekałem na to, by wyrwać się ze szpitala, by zobaczyć coś poza salą operacyjną, ale jeśli pani jest zdenerwowana, jeśli pani nie chce jechać...

Serce Kyli uderzyło gwałtownie. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo ona również potrzebowała odpoczynku od szpitala i jak trudno było jej się do tego przyznać. Kiedy milczała, Chase zdecydowanym ruchem opuścił ręce i otworzył drzwi.

– Chodźmy.

Na ulicy ostry podmuch wiatru zarzucił Kyli włosy na twarz. Nad odległymi szczytami wisiały szare chmury i zdawało się, że powietrze było już wolne od dymów i oparów.

– Myślałam, że pora monsunów już minęła – Kyla skwapliwie przeszła do rozmowy o pogodzie.

– Powinna. – Chase wziął ją pod rękę i zaprowadził do wozu, czekającego przy krawężniku. – Ale kierowca powiedział mi, że duchy ziemi i wody wołają o pioruny i tęczę.

Otworzył drzwiczki i wsiadł za nią. Zamiast wcisnąć się w róg, rozsiadł się na środku z ramieniem niedbale zarzuconym na oparcie. Kyla pochyliła się, by uniknąć jego dotyku i otworzyła okno.

Gdyby tylko Chase był innym typem lekarza – sympatycznym, doświadczonym doktorem domowym, o siwych włosach i uspokajającym sposobie bycia, poczułaby pokusę, by mu się zwierzyć. Ale on zachowywał się wobec chorych jak tygrys na łowach, nie widziała więc możliwości, by mu powiedzieć, co zmuszało ją do narzucania sobie sposobu życia. Nikt nie dowie się o jej nieustannym przerażeniu. Nikt.

Chase rozmawiał z kierowcą, który zjechał na bok, by pozwolić im wyjść na most. Kyla przechyliła się przez poręcz, patrząc w błotniste wody, święte dla Hindusów.

– Czy pójdziemy do klasztoru?

– Tak – wziął ją za rękę.

Dobrze, że nie dotknął jej pulsu, gdyż wyczułby jego gwałtowne uderzenia. Z wysiłkiem zapanowała nad swoim głosem.

– Zatem musimy się zatrzymać i kupić w podarunku szarfę dla najwyższego kapłana, by zawinąć w nią ofiarę, trochę herbaty lub coś w tym rodzaju.

– Dobry pomysł. Czy chce pani otrzymać jego błogosławieństwo, czy spytać go o swoją *karmę*?

– Nie chcę znać swego losu – potrząsnęła przecząco głową i cofnęła rękę. – Sama zadbam o swoją przyszłość. Niech pan idzie przodem.

Udali się przez most do bramy miejskiej i sklepu z ofiarami.

– Czy pani nie wierzy w reinkarnację? – spytał, gdy przeszukiwała stojak z szarfami.

Podniosła oczy i zobaczyła, że z półśmiechem na twarzy opiera się o półkę z pamiątkowymi, brązowymi posążkami Buddy.

– A pan?

– Czasami mam wrażenie, że gdzieś już przedtem żyłem – skrzyżował ręce na piersiach. – Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Nepalu, poczułem, że wracam do domu.

Pokręciła głową, płacąc za szarfę i pudełko herbaty.

– Nigdy właściwie nie miałam domu. Przeważnie żyję na walizkach.

Po wyjściu ze sklepu poszli wąską aleją między kramami rzemieślników.

– A co z pani rodzicami? – Chase obserwował kątem oka twarz Kyli. Widział, że zaciska usta.

– Moja matka umarła parę lat temu, a mój ojciec ożenił się ponownie. Jego żona jest miła, ale teraz to już nie jest mój dom. Rodzina mojej matki mieszka w Puget Sound, ale... – przerwała, zatrzymując się przed półką z mosiężnymi dzwonekami. – Nie wiem, dlaczego opowiadam panu to wszystko.

– Bo spytałem panią – przypomniał.

– O, tak – rozejrzała się, jak złapana w sidła. Chase był na siebie wściekły, że zadał za wiele pytań. Jasne było, że ona jest osobą bardzo skrytą, nawet wobec członków swojej grupy, którzy ją uwielbiali, właściwie jej nie znając.

– Gdzież jest ten klasztor? – spytała ostrym tonem. Wskazał jej kierunek. Poszła przodem tak, że mógł podziwiać linię jej ramion, sprężystość kroków i zarys bioder. Postanowił, że pozna ją lepiej.

Kupujący rozdzielili ich, więc Chase nie mógł jej dogonić, dopóki nie dotarli na dziedziniec dwunastowiecznego klasztoru. Wręczyła ofiarę najwyższemu kapłanowi i ze spokojną i pogodną twarzą wpatrywała się w przedstawione na ścianach świątyni sceny z życia Buddy. Budda uspokoił Kylę po tym, jak Chase wyprowadził ją z równowagi. Odtąd będzie musiał czekać na jej dobrowolne zwierzenia.

Wróciwszy na dziedziniec, Chase zastanawiał się, czy ma jej pokazać erotyczne rzeźby w świątyni Jagannatha. Zdecydował, że jest to winien Kyli ze względu na jej zainteresowania architekturą i historią. Wskazał drogę.

Unikając jego spojrzenia, przechyliła głowę, by lepiej widzieć splecione nagie ciała. Gdy ich oczy się spotkały, zarumieniła się.

– Myślę, że nie... – urwała, nie chcąc zdradzić swego niedoświadczenia. – Zdaje się, że nie jest to anatomicznie poprawne – odwróciła się od niego,

patrzac na rzeźby, jakby codziennie oglądała takie sceny.

– Istotnie – przyznał. – Podziwiam je raczej jako dzieła sztuki.

– Ale, biorąc pod uwagę temat, jestem zaskoczona, że takie rzeczy umieszczano w świątyniach.

– Mogę to wyjaśnić – spojrzała na szare chmury, przesuujące się szybko po niebie. – Bogini błyskawicy jest czystą dziewczicą i nigdy nie zdecydowałyby się uderzyć w świątynię z tak szokującymi scenami.

– Zdaje się, że teraz właśnie szuka jakiegoś miejsca, by uderzyć – Kyla również popatrzyła na niebo.

– Musimy się spieszyć, jeśli chcemy zdążyć do Wangchenów przed burzą.

Minęli obozowisko kupców, gdzie konie stały przywiązane do namiotów z włosia jaków, minęli kramiki, sprzedające amulety i chińskie pantofle. Wreszcie dotarli do rzędu nowych sklepików. W jednym z nich leżały na podłodze stopy dywanów, inne zaś wisiały na ścianach. Syn pana Wangchena wstał zza małego biurka w rogu i powitał ich uśmiechem od ucha do ucha.

– Witam ojcowskiego doktora i jego panią.

Chase starał się zignorować wyraz zdumienia na twarzy Kyli. Nie miał pojęcia, za kogo ją brano. Syn Wangchena poprowadził ich wąskimi schodami do mieszkania nad sklepem.

– Co mu pan powiedział o mnie? – szepnęła Kyla, nie odwracając się.

– Nic – zapewnił cicho. – Nie wiem, skąd wzięli ten pomysł z „moją panią”.

Gdy jako honorowi goście weszli do dużego pokoju wyłożonego dywanami, pan Wangchen, jego żona i młodszy syn czekali w postawie pełnej uszanowania. Wymienili uściski dłoni i usiedli na sofie przed misternie rzeźbionym stolikiem z różanego drzewa.

Uśmiechnięta pani Wangchen pojawiła się z herbatą, a pan Wangchen przyniósł subtelny, delikatnie tkany jedwabny dywan w odcieniach błękitu i srebra. Rozłożył go na kolanach Kyli i Chase’a. Dziewczyna spojrzała na lekarza błagalnie.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Proszę powiedzieć dziękuję.

– To nie dla mnie. Nie mogę tego przyjąć. To pańskie.

– To nasze. To jest dla nas obojga.

– Nie ma żadnego „my” – szepnęła z naciskiem. – Z jakiegoś powodu pomylili się.

Pan Wangchen potarł czoło i powiedział coś do syna.

– Mój ojciec pyta, czy coś jest nie tak. Czy państwu nie podoba się dywan?

– Jest piękny – zapewniła Kyla. – Bardzo się nam podoba.

– Będziemy go zawsze chronić jak skarb – powiedział z emfazą Chase, patrząc na Kyla.

Po herbacie, ciastkach i nowych podziękowaniach Chase i Kyla zeszli za swym gospodarzem po schodach na ulicę. Łzy zabłysły w oczach pana

Wangchena, gdy zęgnął się z nimi.

– Nigdy pana nie zapomnę – powiedział do Chase’a, który starał się ukryć wzruszenie.

Zatrzymali się w kawiarni na Durbar Square i zasiedli przy stoliku pod płóciennym dachem, kładąc na trzecim krzeselku zwinięty dywan.

– Co to wszystko znaczyło? – spytała Kyla.

– Zapewniałem panią, że nie mam pojęcia. Wiedział, że pani asystowała przy operacji. Widział panią w szpitalu. Przypuszczałem, że większość pacjentów uważa panią za pielęgniarkę, a nie za moją... moją... – zmarszczył czoło i pociągnął łyk zimnego chińskiego piwa. – O, mój Boże!

– Co takiego?

– Chyba rozumiem. Pan Wangchen był jednym z moich pierwszych pacjentów, gdy przyjechałem tutaj półtora roku temu. Nie można było jeszcze operować jego katarakty, więc kazałem mu przyjść później. Ale był ciekawy i zapytał mnie, dlaczego w tym wieku nie jestem jeszcze żonaty, więc powiedziałem, że mam narzeczoną.

Kyla wpatrywała się w szare niebo, a jej mina miała dowodzić, że interesuje ją bardziej pogoda niż jego wyjaśnienia. Jeśli myśli, że ona dba o to, czy on ma narzeczoną, to się bardzo myli.

– Powiedziałem mu, że narzeczoną przyjedzie do mnie później, a skoro pani pojawiła się na scenie jako jedyna Amerykanka, był przekonany, że chodzi o panią. To musiało tak wyglądać.

– To musiało tak wyglądać – powtórzyła cicho ze ściśniętym gardłem.

Zapanowała dłuższa cisza, a on czekał, by przemówiła, by zapytała, co stało się z jego narzeczoną. Ale nie zrobiła tego.

– Pani prawdopodobnie zastanawia się, czy rzeczywiście miałem narzeczoną – zaryzykował w końcu.

– A pan rzeczywiście był zaręczony? – zapytała z niedowierzaniem.

– Tak, ale ona nigdy do mnie nie przyjechała. Gdy się tu znalazłem, wiedziałem, że jej się nie spodoba Katmandu.

– A mimo to czuł się pan tutaj jak w domu? – Kyla spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Taaak. To zabawne, prawda? Przyjazd tutaj zmienił moje życie. Zamierzałem zostać parę miesięcy, najwyżej rok, ale gdy zobaczyłem dolinę, poznałem ludzi i zdałem sobie sprawę, co trzeba zrobić... Nie wiem, po prostu nic nie było dla mnie równie ważne.

– Nawet pańska narzeczoną?

– Tak. To brzmi jakbym nie miał serca, ale myślę, że wyświadczyłem jej przysługę. Nie wytrzymałaby tutaj nawet dwóch dni.

Nie powiedział, że to Kristie odmówiła przyjazdu, bo chciała wyjść za lekarza, a nie za dobroczyńcę ludzkości. Nie powiedział, jak bardzo samotny i opuszczony czuł się na początku. To nie było istotne. Stało się dawno temu,

a czas zaleczył jego rany... prawie.

– Muszę dostarczyć do domu panią i pani dywan, zanim się zacznie burza.

– To nie mój dywan, ale pański. Nie mam miejsca na dywan, nie mam nawet gdzie szpilki wsadzić.

– No dobrze. Przechowam go, dopóki nie znajdzie pani miejsca. Dopóki pani nie będzie miała własnego domu.

Natychmiast zorientował się, że nie powinien tego mówić. W jej oczach, tak ciepłych przed chwilą, znów pojawił się stalowy błysk.

W drodze powrotnej przyspieszała kroku, jak gdyby nie chciała spędzić z nim ani minuty dłużej. Natknął się na jakąś niewidzialną barierę. Ona znowu stała się nieustraszoną przewodniczką, maszerującą do obozowiska.

Przed hotelem mruknęła coś uprzejmego i popędziła na górę, zostawiając go z dywanem pod pachą na od dawna spodziewanym deszczu. Poszedł do domu powoli, nie zwracając uwagi, że ulewa przemoczyła go do nitki. Próbował, ale nie mógł zrozumieć, co ją tak dotknęło. Co ją zmusza do wspinania się na najwyższe szczyty i przepływania oceanów, do rezygnacji z domu i rodziny? Czy rzeczywiście jest, jak twierdziła, poszukiwaczką przygód? Co przed nim ukrywa?

Cokolwiek to jest, nie uda mu się łatwo tego dowiedzieć. Znała sposób, by szybko i nieoczekiwanie pozbyć się go. Zostaw ją, powiedział sobie. Wiedziała, że musi wrócić do roboty. Wkrótce będzie zresztą w drodze do doliny Manang, realizując swój wymarzony cel. A Kyla Tanner znajdzie się wtedy, zgodnie ze swymi planami, w Chinach. Tak, jak gdyby ten krótki epizod nigdy się nie zdarzył, jak gdyby w ogóle się nie spotkali. Gdy pomyślał, że nigdy już jej nie zobaczy, ostry ból przeszył mu serce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W ciągu następnych kilku dni duchy ziemi i wody dalej przyzywały błyskawice i tęczę, ale padał tylko ciepły, monotony deszcz. Kyla była rada, że kurz nie unosi się już przed szpitalem, ale to było wszystko, za co mogła być wdzięczna losowi. Podziękowania pana Wangchena sprawiły, że odczuwała własną małość i egoizm, gdyż nie robiła nic, by pomóc chorym ludziom.

Chase nie wspominał już więcej o wyprawie do doliny Manang. Nie proponował też, że pokaże jej inne świątynie, pałace czy klasztory. Rozmawiali tylko o pacjentach, a dni wlokły się leniwie. Leniwie wlokły się również noce. W długie wieczory nie miała do kogo ust otworzyć, a we śnie rzucała się i przewracała, myśląc o dzieciach, które potrzebowały witaminy A.

W piątek rano Chase upuścił nożyczki, które mu Kyla podawała. Wskazał jej palcem szufladę, pełną wysterylizowanych narzędzi, więc sięgnęła po nową parę. Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, a potem odwrócił się do pacjenta. Kiedy skończyli, nie czekał na nią, żeby porozmawiać o chorym, jak to zwykle robił. Ściągnął zielony fartuch, pchnął wahadłowe drzwi i popędził przez hol. Kyla pobiegła za nim.

– Co się stało?

– Upuściłem nożyce. To wszystko. Nie zdarzyło mi się to nigdy przedtem i prawdopodobnie już się nie zdarzy. Nie ma się czym przejmować. – Na jego twarzy odbijało się zmęczenie wielu przepracowanych godzin, trud uciążliwej opieki nad setkami pacjentów, których doglądał. Miała ochotę wygładzić rysy wokół jego ust i zmarszczki na czole, ale po prostu położyła mu rękę na

ramieniu.

– Martwię się. Kiedy ostatnio brał pan wolny dzień? – pytając, znała już odpowiedź. Był to dzień, kiedy pojechali do Wangchena, dzień, który zaczął się obietnicą tęczy, a skończył zimną ulewą, po której żadne z nich nie przyszło do siebie. – Wygląda pan na zmęczonego – zauważyła.

– To pogoda – tłumaczył. – Jestem meteopata.

– Czy jest na to jakieś lekarstwo?

– Trochę słońca dla odmiany. Może nawet tęcza. Cały dzień spędzony poza tą doliną.

– Gdzie?

– Znam takie miejsce. Chciałaby pani pojechać?

– Kiedy? – czuła, że znów ulega Chase'owi i jego życzeniom.

– Jutro.

– Nie mogę ze względu na Lilian – odpowiedziała, wdychając na pół z ulgą, na pół z rozczarowaniem.

– Wczoraj wieczorem wróciła jedna z pielęgniarek. Poproszę ją, by zajęła się Lilian i przynosiła jej posiłki – mówił tak, jakby wszystko było zdecydowane, a nawet jakby już wszystko załatwił. Być może zrobił to.

Walczyła z uczuciem lekkomyślnej radości na myśl o dniu spędzonym z Chase'em z dala od szpitala.

– Jest pan pewien?

– Tak, ale pani musi przyrzec, że nie będziemy mówić ani o przeszłości, ani o przyszłości. Inaczej kuracja się nie uda i meteopatia powróci.

– Pan też obiecuje nie wspominać o dolinie Manang? – spytała z niedowierzaniem.

– Przede wszystkim nie o dolinie Manang – zapewnił z naciskiem.

Potem polecił jej, by była gotowa o świcie i zabrała płaszcz deszczowy. Dodał, że muszą pojechać autobusem.

Większość nocy przeleżała bezsennie, bojąc się, że jeśli zaśnie, będzie marzyła o Chasie, przerażona myślą, że nie powinna z nim nigdzie jechać, nawet na jeden dzień, nawet na godzinę. Było w nim coś, co wzruszało ją głęboko.

Wreszcie zasnęła, ale prawie natychmiast ktoś zapukał.

Chwiejnie przeszła przez pokój i wyjrzała przez szparę w drzwiach.

– Nie jest pani gotowa? – zapytał surowo, rzucając krótkie spojrzenia na bawełnianą białą koszulę nocną, muskającą jej kolana.

– Jest pan pewien, że to świt? To chyba północ.

– Zaczekam na dole.

Chodził tam i z powrotem po pustym hotelowym holu. Powinien był poprosić recepcjonistę, by ją uprzedził, że już na nią czeka. Nie musiałby oglądać jej splątanych włosów, szarych oczu ciężkich od snu i zarysu piersi pod nocną koszulą. Wyglądała na tak wrażliwą i tak pociągającą, że o mało

nie pchnął drzwi i nie porwał jej w ramiona.

Nadszedł już czas, by pozwolić Kyli Tanner odejść. Nie należało jej dłużej zatrzymywać i dzisiaj chciał to powiedzieć. Nie musiałyby nawet wracać do szpitala, chyba żeby pożegnać się z Lilian. Nie musiałyby już nigdy przebywać w jego towarzystwie.

Zobaczył, jak szła przez hol w spodniach i zakiecie khaki oraz jaskrawej fioletowej koszuli, przypominając tropikalnego ptaka. Serce zabiło mu mocniej. Miałby już nigdy jej nie widzieć? Nigdy – to tak długo.

Uśmiechnęła się niepewnie, a w jej szarych oczach odbijały się światła staroświeckich kandelabrow. Pochwalił, że wzięła plecak.

– Zdaje się, że jest pani gotowa na wszystko.

A on? Był gotów na wszystko, tylko nie na pożegnanie z nią.

Złapali taksówkę, podjechali do granicy miasta i wysiedli, by poczekać na autobus. Kiedy się pojawił, weisnęli się między chłopów obładowanych pękatymi workami ryżu i kobiety w szalach i czarnych spódnicach, z wytatuowanymi kostkami nóg. Autobus wspinał się pod górę, pozostawiając z tyłu dolinę i Kyla poczuła dreszcz podniecenia, jak zawsze na początku wyprawy. Mniejsza z tym, że miała ona trwać tylko jeden dzień.

Blotnista droga skończyła się i pasażerowie wysiedli z autobusu: Zaczęło padać. Kyla rozpięła plecak i wyjęła płaszcz deszczowy, a Chase naciągnął na głowę kaptur pomarańczowej wiatrówki. Poszli na przełaj przez pola ryżowe. Po półgodzinie deszcz ustał, więc zatrzymali się, by zdjąć okrycia.

– Czy to miejsce ma jakąś nazwę? – spytała Kyla.

– Tak – powiedział lakonicznie.

Posuwali się wąską drogą, która przeszła w nierówną, blotnistą ścieżkę. Znalazła odpowiedź na swoje pytanie, wyryte na prostej drewnianej tablicy: Hotel „Widok na Himalaje”. Nie była pewna, czego oczekiwała, ale z pewnością nie takiego niepozornego piętrowego budynku z cegieł. Szła przed Chase’em, więc nie mógł widzieć rozczarowania na jej twarzy. Kamienna dróżka prowadziła na taras i nagle Kyla znalazła się wśród oślepiających barw czerwonych pacioreczników i żółtych nagietków. Wstrzymała oddech. Ponad wzgórzami świecącymi szmaragdową zielenią, w brylantowym blasku słońca wznosił się biały szczyt Mount Everestu. Pozwoliła, by plecak zsunął się jej z ramion i by Chase schwycił go. Wdychała świeże górskie powietrze.

– To jest niebo – szepnęła.

– Nie. Niebo jest tam – spoglądał na Everest. – My jesteśmy dopiero w połowie drogi.

Uśmiechnęła się. Kwiaty kołysały się w wietrze wiejącym z doliny, a skądś dobiegały dźwięki fletu, smutne i słodkie. Nagle, oszołomiona, usiadła na pleconym leżaku. Chase położył rękę na jej ramieniu.

– Nie jadła pani śniadania. Pójdę i przyniosę coś do jedzenia.

Gdy wrócił, kroczył za nim szczypty, uśmiechnięty kelner z tacą pełną

pólmisków z pokrywami. Okazało się, że to były chrupiące *somozas*, nierzadkie szpinakiem, słodkie ziemniaki, *dahl* z ryżem i jagnię przyprawione curry w zawiesistym brązowym sosie.

– To jest śniadanie? – Kyła patrzyła ze zdumieniem.

– To jest posiłek – wyjaśnił. – Będą jeszcze donosić potrawy, póki nie powiemy stop.

– Stop – powiedziała, podnosząc rękę. – Jest nas tylko dwoje.

Kyła zjadła więcej niż przez cały zeszyły tydzień, gdyż zgłodniała pod wpływem wysokości i wysiłku fizycznego. Potem sączyli słodką, gorącą kawę, a ona wyciągnęła się na leżaku i przymknęła oczy. Poruszyła się jedynie, by zdjąć żakiet i buty. Wygrzewała się na słońcu. Wydawało jej się, że szybuje nad doliną razem z jastrzębiami i usnęła –głęboko, spokojnie, jak gdyby nie miała żadnych zmartwień. Kiedy się obudziła, cień spowił już dolinę, a Chase, oparty o drewnianą poręcz, przyglądał się jej z rogu tarasu.

– Mogłabym tu zostać na zawsze – mruknęła sennie.

– A może na noc? – spytał impulsywnie. Spojrzała na okna pokoiów, pozbawione zasłon, wychodzące na góry, a później jej wzrok wrócił do niego.

– Raczej nie.

– „Na zawsze” zaczyna się teraz – powiedział.

– Nie dla mnie.

– Kylo... – Drgnęła. W jego głosie slychać było naleganie. – Pielęgniarka, która dzisiaj opiekuje się Lilian, zostanie. Tak więc możesz nie wracać. Przyjechała po urlopie i chętnie przejmie twoje obowiązki, jeśli zechcesz. Mówi po angielsku i sądzę, że Lilian ją polubi.

– Czy to znaczy, że mogę jechać do Chin?

Wstała wpatrując się w niego. Potem przypomniała sobie ich umowę i zasłoniła sobie usta ręką. Uśmiechnął się, ale jego oczy były dalej mroczne i ciemne.

– No, dalej, rozmawiajmy o tym. Wiem, jak wiele to znaczy dla ciebie. Przykro mi, że nie mogłem załatwić tego wcześniej.

– A więc jestem wolna – oparła łokcie na poręczy, by odzyskać równowagę. Obserwowała, jak mgła przesłania szczyty białych gór. Gdzieś za nimi była dolina Manang. Gdzieś tam dzieci oczekiwały pomocy. Jeśli jej nie otrzymają, oślepną. – A co z tobą? Kiedy wyruszasz na wyprawę?

– Nie jestem pewien – zawahał się. – Nie tak zaraz. Są jakieś problemy z przewodnikiem. Ten, którego wynajęliśmy, nie może, a nikt inny nie chce wyruszyć w porze świąt.

Te słowa brzmiały beznamiętnie, ale Kyła usłyszała w nich rozczarowanie, które dostrzegła także w jego oczach.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? Nie wspominałeś mi, że zostajesz.

– Powiedziano mi o tym wczoraj.

– Przed operacją.

Upuszczony instrument, nagła depresja, wszystko się od razu wyjaśniło.

– Tak – przyznał. – Lepiej będzie chyba zaczekać do wiosny, wkrótce śnieg zablokuje przełęcze.

– Mógłbyś jednak pójść, gdybyś miał przewodnika.

– Ale nie mam.

– Ale gdybyś miał – nalegała wiedząc, że jeśli ją teraz poprosi, powie tak.

– Nie przejmuj się tym. To nie twoje zmartwienie.

– Twoje także nie, a jednak chcesz tam iść. Potrzebujesz przewodnika. Ja jestem przewodnikiem. Być może to przeznaczenie. Być może zostałam wybrana, żeby iść z tobą.

– Sądziłem, że nie wierzysz w przeznaczenie.

Do diabła, pomyślała. Czy ma go błagać, by pozwolił sobie pomóc. Możliwe, że wcale nie chce jej zabrać ze sobą, ale teraz już nie ma wyboru. Wzięła głęboki oddech.

– Jeśli chcesz, bym została twoją przewodniczką, to i ja tego chcę. – No więc powiedziała to. Teraz wszystko zależało od niego.

Słońce zaszło za góry i na jego twarz padł cień.

– A co z Chinami? – zapytał.

– Znaleźli kogoś na moje miejsce, a więc jestem wolna. Pojadę tam kiedy indziej – jej głos brzmiał spokojnie i chłodno, ale czuła wewnętrzne drżenie.

Dlaczego to robi? Praktycznie biorąc boryka się z nim, żeby ją wziął ze sobą, gdy tymczasem mogłaby się uratować wyjeżdżając natychmiast z Nepalu. Czy robi to, by nadać sens swemu życiu przez pracę dla innych? Czy to ze względu na dzieci? Czy też chodzi o samego Chase'a? A może to nieświadome pragnienie poznania go bliżej, ustalenia, co kryje się pod zieloną maską chirurga? Jeśli o to chodzi, jeśli ona wybiera się na dwudziestoczterodniową wyprawę tylko po to, by przebywać z mężczyzną, który ją fascynuje, to lepiej, by odleciała pierwszym samolotem do Chin.

Oderwał ją od poręczy, chwytając za ramiona.

– Czy jesteś tego pewna? – jego oczy spoglądały badawczo, dociekając motywów.

– Tak – próbowała patrzeć gdzie indziej, lecz nie mogła. – Ja... ja jestem to winna tobie i dzieciom.

– Chodźmy się napić czegoś przed powrotem – zaproponował Chase, jakby nie stało się nic ważnego.

We wnętrzu, sącząc brandy przy małym barze, spytali o rozkład autobusów. Barman w turbanie westchnął.

– Autobus utknął w błocie, proszę pana – powiedział do Chase'a. – Zgodnie z rozkładem będzie jeździł dopiero jutro.

Kyla podniosła głowę znad szklanki, a Chase drgnął.

– Nie zdarza się, by o tej porze roku padało – dodał barman przepraszająco.

– Chyba weźmiemy dwa pokoje na tę noc – powiedział Chase, a Kyla,

podochocona brandy, przytaknęła. Lilian miała zapewnioną opiekę. Cóż szkodzi spędzić noc w pół drogi do nieba?

Barman przestał wycierać szklanki.

– Ale wszystko jest zajęte.

– Co? – rozejrzeli się niedowierzająco po pustej sali.

– To pułkownik Prajapati i jego grupa. Przyjeżdżają co roku. W ciągu dnia wędrują, a wieczorem znajdują tutaj wygodny odpoczynek.

– Pułkownik prowadzi operacje turystyczne w Katmandu tak, jakby dowodził armią w Indiach – poinformowała Chase’a Kyla. – Ale lubi wypić dżin z tonikiem pod koniec dnia.

W tej właśnie chwili usłyszeli kroki na kamiennej drodze i głosy rozbrzmiewające w przejrzystym wieczornym powietrzu. Po paru minutach bar zapelnili zakurzeni turyści, rozradowani całodzienną włóczęgą w górach pod wodzą pułkownika Prajapati. Pułkownik rozpoznał Kylę i przysiadł się z oszronioną szklanką do ich stolika.

– Cieszę się, że panią widzę, droga miss Kyla – wypił jej zdrowie, a Kyla przedstawiła Chase’a. – Jak się panu udało znaleźć wśród przewodników himalajskich prawie najlepszego, a na pewno najładniejszego?

– Po prostu szczęście, pułkowniku – odrzekł swobodnie Chase. – Proszę mi powiedzieć, czy dzisiaj zajmie pan wszystkie pokoje?

Pułkownik Prajapati rozejrzał się po barze, licząc swoich ludzi.

– Mógłbym prawdopodobnie poprosić moich turystów, żeby się ścieśnili i odstąpili panu jeden pokój – jego oczy przesuwaly się od Chase’a do nagle zaniepokojonej Kyli.

– Dwa – powiedziała stanowczo.

– To by nas urządziło – wtrącił się Chase.

– Oczywiście. A ponieważ ja zajmuję duży pokój narożny, mógłbym gościć jedno z was – długie spojrzenie na Kylę mówiło jasno, kogo miał na myśli.

Chase ostentacyjnie, na oczach pułkownika, położył rękę na dłoni Kyli.

– To nie jest konieczne. Postąpiliśmy lekkomyślnie nie załatwiając rezerwacji, ale jeśli może pan odstąpić nam jeden pokój...

Pułkownik wstał, uklonił się i dołączył do swojej grupy przy barze.

– Co miałeś na myśli, mówiąc „to nie jest konieczne”? – szepnęła Kyla, wyrывая rękę. – Dlaczego nie mogłeś spać z pułkownikiem?

– On nie chciał mnie, chciał ciebie.

– Nie może mnie mieć – skrzyżowała ręce na piersiach.

– A czy ktoś w ogóle może? – zapytał cicho, a ona potrząsnęła przecząco głową.

Pułkownik wrócił z kluczem od pokoju nad tarasem i wsunął go Kyli w rękę.

– Przyjemnych snów – powiedział, mrugając znacząco.

– Tracisz reputację – mruknął Chase półgębkiem. – Lodowa księżniczka

topnieje.

– A więc tak przypuszczasz – oczy Kyli błyszczały.

– Myślę, że masz tylko lekkie zahamowania – uśmiechnął się, by złagodzić sens swych słów.

– To jest twoja profesjonalna ocena – odrzekła swobodnie.

– Raczej podejrzenie.

– Istotnie, przewodniczki turystyczne mają fatalną reputację. Mówi się, że robią wszystko, by wycieczkowicze byli zadowoleni.

– Ty też? – dopił swojego drinka.

– Nie.

Zadzwieczał gong, więc wstali i podążyli za hałaśliwymi turystami do jadalni. Ich śmiech i dobroduszne żarty rozlegały się przez cały posiłek, po którym Chase i Kyla poszli do swojej sypialni. Była nieduża, ale widok z okna zapierał dech w piersiach.

Chase oparł się o drzwi, a Kyla wyszła na taras popatrzeć, jak księżyc wschodzi nad łańcuchem górskim. Nawet bez światła widać było, że jest tylko jedno łóżko. Serce mu zaciążyło. Czy to wpływ wysokości? Nie. Dlaczego ona wybiera się z nim do doliny Manang? Dlaczego zmieniła plany?

Zdjął buty i wsunął pod łóżko. Podeszedł w skarpetkach do Kyli i przesunął dłońmi po jej ramionach. Czuł, że jej włosy pachną słońcem i chciał ukryć twarz w niesformnych lokach, tworzących aureolę wokół jej głowy. Już pierwszego dnia ich znajomości chciał dotknąć jej włosów, sprawdzić, czy były takie, na jakie wyglądały, miękkie, ciepłe i żywe.

– Chase – odezwała się i ten niski głos sprawił, że ogień zapłonął w jego żyłach. – Musimy zawrzeć umowę.

– Tak, dobrze – odpowiedział szybko, gotów zgodzić się na wszystko.

– Nie tylko na dzisiejszą noc, ale na czas całej wycieczki – wyjaśniła. – Nie będę z tobą spała.

Odetchnął głęboko, spoglądając na podwójne łóżko.

– To znaczy muszę spać z tobą, ale nie będę z tobą spała.

– Rozumiem – powiedział, słuchając jej głosu jakby to była muzyka, lecz nie rozumiejąc znaczenia słów. Parę sekund później jednak to znaczenie do niego dotarło. – Dlaczego nie?

– Mam taką zasadę, aby w nic się nie angażować z kimkolwiek z mojej grupy.

– Ale ja nie należę do twojej grupy – oponował.

– Albo spoza mojej grupy – dorzuciła.

– Kylo, nie możesz przejść przez życie nie angażując się. To niemożliwe, zwłaszcza dla kogoś tak młodego i towarzyskiego jak ty. To nie jest zdrowe – chciał zmusić ją do wyznania tego, czego chciał się dowiedzieć: przyczyny jej lęku.

Zadrzała.

– Możesz sobie być lekarzem, ale to ja wiem, co jest zdrowe albo niezdrowe dla mnie. I nie zaangażuję się w związek z tobą czy z kimkolwiek innym. Ani seksualnie, ani emocjonalnie.

Jej oczy lśniły od powstrzymywanych łez, a Chase objął ją delikatnie, wiedząc, że nie mógłby jej utrzymać w ramionach siłą. Oparła czoło o jego piersi, a on bał się odetchnąć. Panowało milczenie, tylko drobny deszczyk padał na pola w dolinie. Gdy podniosła głowę, oczy miała suche, a na ustach błąkał się lekki uśmiech.

– No dobrze, teraz, kiedy to ustaliliśmy, możemy iść spać.

– W tym samym łóżku? – zapytał z niedowierzaniem.

– A czy widzisz inne?

Pokręcił głową ze zdumieniem. Być może nie przeżywała tego, co on. Być może szła z nim na wyprawę, bo chciała zrobić coś dobrego dla innych. To upraszczało sytuację. Najwyraźniej nic nie czuła do niego, zdał sobie z tego sprawę później, gdy już leżeli w łóżku. Natychmiast zapadła w sen. Było mu głupio. Odwrócił się od niej i wpatrywał się w okno, aż do chwili, gdy słońce wstało i zalało pomarańczowym blaskiem białe szczyty. Miała rację. Dobrze, że ustalili te rzeczy wcześniej, przed początkiem wyprawy, zanim zrobił z siebie kompletnego durnia.

Kiedy się obudziła, założył ręce pod głowę i obserwował, jak bierze plecak i wychodzi do łazienki na dole. Wróciła uczesana i odświeżona. Wyglądała tak, jakby była gotowa na wszystko z wyjątkiem emocjonalnego czy seksualnego zaangażowania. Spojrzała w okno ponad jego głowę.

– Zgadnij, co widziałam.

Wstał, ale miał zbyt wysuszone usta, by się odezwać. Ubranie lepiło mu się do skóry. Przejechał ręką po zarośniętych policzkach.

– Co! – zaskrzeczał.

– Tam jest tęcza.

Wyszedł bosy na balkon. Zobaczył chmury, blade słońce i tęczę, rozciągniętą na niebie i kończącą się gdzieś za Mount Everestem. Poczul, że ona kładzie mu dłoń na ramieniu, ale nie poruszył się.

– Dziękuję – powiedziała łagodnie.

– Za co? – zapytał szorstko. – Za tęczę? Za połowę łóżka? Czy za moją godną podziwu powściągliwość, bo nie zgwałciłem cię w czasie snu?

Cofnęła rękę z jego ramienia, jak gdyby się oparzyła.

– Tak. Za to wszystko. Pójdziemy?

W drodze powrotnej Kyla siedziała zmieszana i milcząca między tybetańską kobietą w jaskrawym swetrze i Chase'em w wilgotnej, pogniecionej koszuli. Sądziła, że postąpiła słusznie, ale czy na pewno? Ustalasz reguły na początku wyprawy i sprawdzasz, czy każdy je zrozumiał. W ten sposób nikt nie może twierdzić, że nie wiedział, iż nie wolno pić nie

przegotowanej wody albo spać z przewodniczką. A Chase aż do dzisiejszego ranka był wzorowym turystą. Dlaczego zaatakował ją tak ostro?

Rozstała się z nim na przystanku autobusowym w Katmandu i powlokła się do hotelu w ciężkich, ubłoconych buciorach. Nie odwracała się, nie chcąc widzieć, że on wciąż na nią patrzy, i zastanawiała się, jak wytrzyma dwadzieścia cztery dni z mężczyzną, który nie zamierza stosować się do ustalonych zasad.

Ta myśl ciągle chodziła jej po głowie, kiedy w poniedziałek rano załatwiała sprawunki przed wyprawą. Kupiła Kuchenkę, zapasy żywności, wypożyczyła namiot i śpiwory. Wynajęła też Szerpę, który miał być ich tragarzem. Potem poszła do miejscowego oddziału agencji „Podróży z przygodami”, wciśniętego między herbaciarnię i sklep ze specjalistycznym ekwipunkiem wysokogórkim, i zawiadomiła ich, gdzie wyrusza. W końcu wstąpiła do szpitala, by pożegnać się z Lilian.

Kobieta miała lzy w oczach, gdy Kyla opowiedziała o swych planach.

– Wiem, że postępujesz słusznie – szepnęła drżącymi ustami. – Ale będę tęskniła za tobą. Doktor Chase mówi, że pojedę do domu za tydzień lub dwa. Gdzie będziesz wtedy?

– Jeśli będziemy mieli szczęście, to w połowie drogi – odrzekła.

Usłyszała zbliżające się głosy. Chase z drugim lekarzem robili obchód. Kyla delikatnie uściśnęła Lilian i obiecała, że zadzwoni do niej, kiedy wróci do Stanów. Potem uciekła, niemal pędząc, do poczekalni. Lecz Chase ją dogonił.

– Gdzie byłaś? Zjrzałem wczoraj wieczorem. Powiedziano mi, że wyszłaś.

– Bo wyszłam. Omawiałam z Szerpą nasze spotkanie w Pokhara.

– Więc nie zmieniałaś zdania? – spytał, dotrzymując jej kroku.

– Nigdy nie zmieniam zdania.

– Tak myślałem.

Otworzył przed nią drzwi, ale zawahała się pod jego przenikliwym spojrzeniem.

– Nie podziękowałam ci za... ten dzień w górach. To piękne miejsce i przez chwilę czułam się jak w bajce – popatrzyła na niego. Proszę, chciała powiedzieć, zrozum, że nie mogę przestać się bronić.

– Przewyciężyłem swoją meteopatię – powiedział, mrużąc ciemne oczy.

– A ja odzyskałam sen. Musiało być coś w powietrzu.

To Chase w końcu odwrócił się, by odejść.

– Muszę się zająć pacjentami – wyjaśnił – i wypisać ostatnie karty.

– Jesteś pewny, że będziesz gotów na jutro?

– Spotkam się z tobą na lotnisku o siódmej. O ile nie zmienisz zdania.

– Nie zmienię.

– Wiem. Jestem bardzo... – przerwał. – Jestem po prostu oszołomiony. Myślałem, że nigdy nie będę miał okazji dotrzeć do tych ludzi. A teraz my

rzeczywiście do nich idziemy... jutro.

Sprawił wrażenie chłopca, wyruszającego po raz pierwszy na wycieczkę. A może tak było rzeczywiście? Zapomniała spytać. Co ze mnie za przewodnik, westchnęła. Mniejsza z tym. Obiecała go prowadzić, a nigdy nie zmienia zdania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka spotkali się, jak to było umówione, na lotnisku i upchnęli bagaż za dwoma rzędami siedzeń w niewielkim samolocie.

– Co tam jest? – Kyla wskazała na pękate płócienne torby Chase’a.

Usiadł za nią i wrzasnął jej do ucha, by przekrzyczyć warkot dwóch silników:

– Wziąłem trochę instrumentów i zapasów, witaminę A i antybiotyki.

Kyla nie zabrałaby tyle bagaży nawet w podróż dookoła świata.

– Zdaje się, że ciągniesz ze sobą całe laboratorium – krzyknęła przez ramię.

– Nigdy nie wiadomo, co będzie potrzebne. Wolę być przygotowany.

Odwróciła się twarzą do kabiny, a samolot zaczął kołować po wąskim pasie startowym. I tak nigdy nie wiesz, co się stanie, i nie możesz być przygotowany na wszystko, pomyślała Kyla. Dlatego właśnie te wycieczki są tak fascynujące.

Humor jej się poprawił, gdy samolot wzbił się w powietrze. Najprzyjemniejsze są zawsze początki, dopóki nie pojawi się ból mięśni i zawroty głowy wywołane wysokością. Jakim piechurem okaże się Chase? A co ważniejsze, jakim okaże się człowiekiem? Nagle zdała sobie sprawę, że nie wie nic o jego życiu przed przybyciem do Nepalu.

Przed udaniem się na wyprawę przeglądała zwykle formularze ze zgłoszeniami członków grupy. Pytanie pierwsze: „Opisz swoje doświadczenia turystyczne”.

W samolocie było zbyt hałaśliwie, by mogła od niego żądać opisywania czegokolwiek. Ostatnim razem, gdy obserwowała go w czasie „doświadczenia turystycznego” w drodze powrotnej z hotelu „Widok na

Himalaje”, maszerował szybciej niż ona, pozwalając jej wlec się za nim w kurzu. Nie było to przyjemne wspomnienie.

Następny punkt: „W razie wypadku proszę zawiadomić”. Gdyby Chase upadł i doznał urazu jak Lilian, nie miałyby „Podróży z przygodami”, by zawiadomić najbliższych krewnych. Musiałaby sama dzwonić do jego matki, ojca, a może eks-narzeczonej. Zachmurzona, przeszła w myślach do kolejnego punktu: „Stan zdrowia”. Zauważyła już szerokie barki, wydadne mięśnie, błyszczące oczy, pełne usta. Stan zdrowia? Pomyliła zdrowie z urodą.

Punkt czwarty: „Zakwaterowanie: jedno- czy dwuosobowe?”. Zarumieniła się na myśl o łóżku, w którym spędziła noc obok Chase’a, udając, że śpi. Niech sobie myśli, że ona jest z lodu. Niech sobie myśli, że spała, choć nie mogła. Niech sobie myśli, że jest nieczuła na wiatr, deszcz, lęk i namiętność. To lepsze, niż przyznać, że boi się zbliżyć do kogoś, kto patrzy tak głęboko w jej oczy, kto może dostrzec wszystko, co przed nim ukrywa pod maską nieustraszonej przewodniczki.

Z tą maską starannie nałożoną odwróciła się i zobaczyła, że on wygląda przez okno. Rozejrzał się i zrobił tak zabawny grymas, że uśmiechnęła się w odpowiedzi. To przecież zwykła wycieczka, mówiła sobie. To samo podniecenie, ten sam dreszcz nowego doświadczenia, dzielonego przez grupę ludzi. Wprawdzie przy jednej osobie to doświadczenie może być inne, bardziej intensywne, bardziej osobiste, ale to nie znaczy, że powinna przestać panować nad swymi uczuciami.

Ścisnęła skronie rękoma i wszczęła poważną rozmowę z samą sobą. Przypomniała sobie, kim była i czego pragnęła w życiu, dlaczego wyruszyła na wyprawę z tak bardzo atrakcyjnym i ofiarnym lekarzem, który siedział za nią i który potrafił jednym olśniewającym uśmiechem sprawić, że zapomniała o wszystkim. To nie będzie łatwa wyprawa, ale miała przeczucie, że będzie ją zawsze pamiętała.

W Pokhara spotkali Szerpę Kibo i we trójkę wladowali bagaż na plecy. Przed południem już właściwie wędrowali szlakiem z Kylą na czele.

Zatrzymali się przy źródle i gdy Chase napełniał kanistry wodą, Kyla rozpostarła na płaskim kamieniu mapę i razem z Kibo omawiała marszrutę.

– Będziemy szli wzdłuż rzeki Marysandi – pociągnęła palcem po niebieskiej linii na mapie. – Potem pójdziemy na skrót między szczytami Annapurny na zachodzie a Manaslu i Himalchuli na wschodzie.

– Jak daleko mamy dojść dzisiaj? – głos Chase’a był pełen energii i odrobiny niecierpliwości.

– Prawdopodobnie dotąd – wskazała kilkumilimetrowy odcinek i zorientowała się, że zeszytniał.

– Mam nadzieję, że nie zwalniasz tempa ze względu na mnie. Ja dam radę.

– Jestem tego pewna. – Nadszedł czas, by umocnić swój autorytet. – Pierwszego dnia nie będziemy się forsować, trzeba przyzwyczaić się do klimatu i zmiany wysokości.

– Jest już prawie listopad – zaprotestował. – Jeśli śnieg spadnie wcześniej i zasypie przełęcze...

– Chase – przerwała. – Wiem i o śniegu, i o przełęczach. Byłam tu już przedtem, pamiętasz? Dlatego jestem twoją przewodniczką – położyła mu rękę na ramieniu i zaraz tego pożałowała. – Każdy chciałby maszerować pierwszego dnia – rzekła, choć wiedziała, że Chase Cunningham to nie jest „każdy”.

Gdyby czuła, że taki fluid przepływa między nią a kimś innym, natychmiast wzięłaby nogi za pas, żeby nie stracić głowy. Dlaczego nie robi tego teraz? Zdjęła rękę z jego ramienia, a on przyglądał się jej, czekając, co powie dalej.

– Powinieneś sam rozłożyć swoje siły – dodała. Sceptyczny wyraz w jego oczach wyprowadził ją z równowagi. Zacytowała zdanie z broszury agencji „Podróż z przygodami”: – „Marsz poranny i popołudniowy powinien trwać od trzech do czterech godzin z dwugodzinną przerwą w malowniczym miejscu, podczas której należy przygotować gorący posiłek”.

Zdawało się, że w jego oczach dostrzegła ciepły blask, więc ciągnęła dalej, w nadziei, że postanowił być rozsądny:

– „Miejsca. na obozowisko należy wyznaczać, biorąc pod uwagę ich malowniczość...”

– Czy możemy sobie darować malowniczość i dwugodzinne gorące posiłki? – zapytał. – To misja, a nie wakacje. Nic dziwnego, że mamy tu problemy z niszczeniem lasów, skoro turyści jadają codziennie gorące posiłki.

– „... i bliskość wody” – dokończyła, patrząc na niego. – Oczywiście, możemy zignorować najwyższe i najpiękniejsze góry świata. Możemy darować sobie także gorące posiłki, choć Kibo gotowałby je na małej kuchence gazowej. Ale to jest krótkowzroczne. Wyprawa zajmie dwadzieścia cztery dni, niezależnie od tych wyrzeczeń. Chyba, że jesteś Szerpą i chodzisz tą trasą codziennie – zerknęła przez ramię na Kibo i jego muskularne nogi. – Te wyprawy nie są dla zadyszanych turystów, takich, którzy zaliczają katedry w biegu, ale dla ludzi, którzy chcą przyjrzeć się prymitywnej uprawie prosa i sporządzaniu plecionek z suszonej trawy. Nie mogę cię zmusić, byś patrzył na góry albo jadł ugotowane przez Kibo ziemniaki, ale myślę, że po tylu miesiącach patrzenia na zielone ściany sali operacyjnej...

Chase zarzucił swój ekwipunek na plecy i tupnął w ziemię.

– Czy ty sobie wyobrazasz, że wzięłam wolny czas, aby wachać stokrotki? Radzono mi to przez całe życie, ale interesowało mnie co innego. Czy pomyślałaś kiedyś o tych wszystkich ludziach na świecie, którzy nie mogą widzieć gór, ponieważ w ogóle nie widzą? Nie mogą wachać stokrotek, ponieważ nie wiedzą, jak dojść tam, gdzie są kwiaty? Ja myślę o nich ciągle i

nie chcę tracić czasu na gadanie. Będziemy iść tak, jak ty chcesz, bo jesteś przewodniczką, i będziemy kontynuować naszą dyskusję filozoficzną w obozowisku dostatecznie bliskim wody – po tych gniewnych słowach odwrócił się i ruszył drogą.

Kyla rzuciła krótkie spojrzenie na Kibo, który skinął głową i wyprzedził Chase'a, by objąć prowadzenie. Wściekłość dusiła ją za gardło. Sens jego słów był jasny: próbowała przekształcić akcję humanitarną w zabawę; on był ludzki i współczujący, ona powierzchowna i szukająca rozrywek. A niech go diabli wezmą, z jego świętoszkowatymi minami. Jeśli chce, niech sobie cwałuje cały dzień bez jedzenia i picia.

Ścieżka zwężała się. Chase patrzył prosto przed siebie, nie chcąc odwrócić się i sprawdzić, jak daleko w tyle pozostała Kyla. Wiedział, że szła lekko, że jej gibkie ciało poddawało się rytmowi natury, że jej brązowe loki ocieniały twarz zwróconą ku niebu, w oczekiwaniu na pojawienie się ośnieżonych szczytów.

Czuł suchość w ustach, a żołądek skręcał mu się z głodu. Szedł dopiero dwie godziny, a już żałował, że nie może cofnąć każdego z wypowiedzianych rano słów – zwłaszcza tych, że nie chce gorącego posiłku.

Chciał gorącego posiłku i chciał Kyli Tanner, a wyglądało, że nie dostanie ani jednego, ani drugiego – przynajmniej w czasie tej wyprawy. W którym momencie popełnił omyłkę? Doszedł do wniosku, że przede wszystkim od początku zaczął gadać jak bufon, zachwycony sobą dobroczyńca ludzkości. Zatrzymał się, by rozważyć swoją sytuację.

Gaje drzew figowych i bananowych rosły po obu stronach ścieżki. Torując sobie drogę przez gęste listowie, wszedł pod gałęzie ciężkie od dojrzałych owoców. Małe czerwone banany niemal spadały mu w ręce. Usłyszał kroki, to powinna być Kyla, a on powinien przeprosić. Dostrzegł ją, zanim go zauważyła, gdyż nie patrzyła przed siebie. Patrzyła na swoje stopy i utykała.

– Kyla.

Podniosła głowę, zaskoczona dźwiękiem jego głosu. Przedarł się przez gęstwinię i chwycił ją za ramię. – Co się stało?

Jej oczy były chłodne, szare jak kamień. Zawahała się, wyraźnie nie wiedząc, czy w ogóle przyznać się, że coś nie jest w porządku.

– Dokuczają mi nowe buty – odpowiedziała w końcu, odsuwając się od niego. – Zawsze pierwszy dzień jest trudny.

– Pozwól mi zobaczyć.

– Kiedy zatrzymamy się na lunch, przyłożę kawałek moleskinu – potrząsnęła przeczącą głową.

– Mam nadzieję, że to nastąpi niebawem – przyznał. – Czy nie słyszałaś, jak mi kiszki marsza grają? – wyciągnął do niej rękę. – Chcesz banana?

– Dziękuję – odwróciła się. Dalej utykając poszła pierwsza i obierała owoc po drodze.

– Czy zawsze wyruszasz na wyprawę w nowych butach? – Szedł za nią blisko, uważając, by nie nastąpić jej na pięty.

– Nigdy – rzuciła przez ramię. – Ale przy końcu ostatniej wyprawy obiecałam moje stare buty Szerpie. Myślałam, że jadę na spływ i będę miała czas rozchodzić nowe przed następną wspinaczką. A potem Lilian upadła i resztę już znasz.

Znał, ale wiedział również, że wolałaby teraz płynąć po jakiegokolwiek rzece, niż być z nim, prawdopodobnie chciałaby być gdziekolwiek indziej, byle nie z nim. Nie miał pewności, dlaczego w ogóle udała się na tę wyprawę, ale stopy poraniła sobie z jego winy.

– Kiedy się zatrzymamy? Chciałbym obejrzeć twoje nogi – powiedział, chowając dumę do kieszeni.

– Nie, nie chcesz. Ty chcesz jeść.

– I to także. Czy zatrzymasz się, jeśli przyznam, że nie miałem racji?

– Miałeś czy nie miałeś, zatrzymamy się na tamtej polance. Kibo prawdopodobnie uruchomił już kuchenkę. Ale ostrzegam cię, że to malownicze miejsce – uśmiechnęła się kącikami ust.

Poczuł ulgę. Być może przestała się już gniewać.

– Zniosę to – zapewnił. – A jeśli jest tam zbyt malowniczo, zamknę oczy.

Szli w milczeniu przez następne piętnaście minut, a krajobraz tymczasem się zmieniał. Bujna dżungla ustąpiła płaskim polom ryżowym. Uderzył go zapach ziemniaków, zanim zobaczył polankę nad rzeką. Kibo pochylił się nad kuchenką, smażąc placki ziemniaczane nadziewane cebulą, marchewką, selerami i kapustą.

Po drugiej stronie rzeki stały kobiety przy rowach nawadniających, cierpliwie łowiąc ryby.

Chase zdjął plecak i usiadł na dużym kocu, rozesłanym przez Kibo. Kyla usadowiła się naprzeciwko, a on sięgnął do sznurowadeł jej butów. Podciągnęła kolana pod brodę.

– Poradzę sobie sama.

– Pozwól mi.

Przysunął się bliżej i szarpnął jej but w swoją stronę. Zaciśnęła mocno usta. Zaczął się zastanawiać, jak długo szła na obolałych nogach. Delikatnie ściągnął jej skarpetkę, a Kyla mimo woli ciężko westchnęła, gdy uraził ją w miejsce, gdzie uformował się brzydki, czerwony pęcherz. Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

– Byłoby lepiej zająć się tym, zanim pękł – powiedział łagodnie. – Gdybyś nie była tak uparta...

– Ja jestem uparta? To ty się spieszyłeś – wypomniała.

– Nie spieszyłem się tak bardzo. – Wyjął z plecaka gazę i masę z antybiotykami. Trzymał jej stopę na kolanach. – Mój Boże, musisz uważać mnie za potwora, jeśli sądzisz, że nie zatrzymałbym się z twojego powodu.

Lekko masował jej stopę. Drgnęła i zamknęła oczy, poddając się przyjemności. Nikt jej do tej pory nie powiedział, że stopa jest tak wrażliwym miejscem.

– Nieważne – mruknęła.

– Dla mnie ważne – rozsznurowywał teraz drugi but i ściągał skarpetkę.

Zaczęła tracić panowanie nad sobą.

– Chase – powiedziała. – W porządku. Czuję się dobrze. Dziękuję – otworzyła oczy i usiadła. Pozwolił na to, spoglądając na nią z półuśmiechem, a jego ciemne oczy były miękkie jak brązowy aksamit. Kibo stał nad nimi, podając dymiące talerze ziemniaczanych *rosti*. Jedli w milczeniu. Bała się, że Chase zdaje sobie sprawę, jakie wrażenie wywiera na niej. Powinna być bardziej ostrożna i nie dopuścić, by to się znów powtórzyło. Byłoby lepiej dla niej, gdyby dalej był tak nieznośny jak rano, nie zaś miły i troskliwy. Zbyt łatwo byłoby polubić go za bardzo, gdyby częściej ujawniał ujmujące cechy charakteru.

– Byłem wstrętny tego ranka. Przepraszam – powiedział, odkładając widelec, jak gdyby czytał w jej myślach.

– Nie przepraszaj – odparła szorstko. – Miałeś rację. To nie są wakacje, wypełniamy misję. Postaram się o tym pamiętać.

– Nie, to ty miałaś rację – oparł się na łokciach i patrzył na pola, na kobiety w słomianych kapeluszach i kolorowych spódnicach. – Czasami chciałbym stać po kolana w strumieniu i przez cały dzień łowić ryby na wędkę. Ale jest tak wiele do zrobienia i tak mało czasu.

– Wiem. Czuję to samo – skinęła głową i wzięła szklankę herbaty od Kibo.

– Tylko że inaczej wykorzystuję swój czas, zwykle bardzo egoistycznie.

Zaprzeczył, ale ona ciągnęła dalej.

– Jesteś pochłonięty swoją pracą, pomaganiem ludziom. Ja jestem pochłonięta sobą, pogonią za ryzykiem. Czasami sprawiasz, że czuję się bardzo podle.

– Gdybyś była pochłonięta sobą, nie byłoby cię tutaj – położył jej rękę na kolanie. – Byłabyś na swoim spływie. Nigdy nie zostałabyś z Lilian. A ta pomoc w sali operacyjnej? Ale w jednym masz rację: zapełniasz życie pogonią za niebezpieczeństwem.

Kyla rzuciła mu długie spojrzenie. Ostrożnie położyła moleskin na opatrunku, wciągnęła buty i wstała. Chase obserwował ją zastanawiając się, czy powiedział za wiele, czy też raczej za mało. Złapała go za rękę i zmusiła do wstania. Chciałaby, żeby ją pocałował. Tylko raz, żeby to mieć już za sobą. Poznałaby dotyk jego warg i przestałaby to sobie wyobrażać. Ale pocałował ją niemal symbolicznie, zaledwie muskając jej usta. Opuścił ramiona i podniósł swój ładunek, jak gdyby nic się nie stało.

Została sama, czując się oszukana, porzucona i zła na siebie, że tak to odczuła. Gdyby pierwszego dnia pocałował ją, tak jak tego pragnęła, co

byłoby z nimi po dwudziestu czterech dniach? W jej głowie kłębiły się obrazy, gdy z trudem maszerowali dalej. Była szczęśliwa, że Chase szedł za nią i nie musiała patrzeć na jego szerokie barki, sprężysty chód i ciemne włosy, niemal sięgające kołnierza bawełnianej, przepoconej koszuli. Wszystko będzie dobrze, kiedy już wydostaną się z tej parnej i zmysłowej doliny. W świeżym górskim powietrzu nie pozwoliłaby Chase'owi wywierać takiego wpływu na swe odczucia. Nie byłaby tak rozdrażniona, wrażliwa, bezbronna.

Popołudniowe słońce świeciło nieprzerwanie, gdy przebijali się przez bambusowe gaje. W gorącym, wilgotnym powietrzu pot zraszał obficie skórę Kyli, a jej nogi były ciężkie jak kamienie przy ścieżce. Mijali ich członkowie górskich szczepów, schodzący w dół do wioski, a Kyla uśmiechała się do kobiet, ubranych w jaskrawoczerwone kaftany, ozdobione naszytiami z żółtych i pomarańczowych paciorków. Kyla i Chase usunęli się z drogi, by pozwolić przepłynąć obok tubylczym kobietom w długich, owijanych wokół bioder spódnicach. Kyla zauważyła, że patrzą one na Chase'a śmiało, spojrzeniem pełnym dumy, ciekawości i wyraźnej admiracji. Przez chwilę popatrzyła na niego ich oczyma. Wysoki mężczyzna w pogniecionych spodniach khaki, o pełnych wydatnych ustach i ciemnych źrenicach, patrzący na nie z równym zaciekawieniem. Czy także z podziwem? Nagle Kyla poczuła się brzydka i banalna w porównaniu z tymi egzotycznymi stworzeniami, które już zniknęły w oddali.

O zmierzchu było wciąż jeszcze gorąco. Zatrzymali się na noc nad brzegiem błotnistej rzeki Kondori, spienionej od jesiennego przyboru. Jeśli na Chasie zrobił wrażenie jej rwący lodowaty nurt, to nie dał nic po sobie poznać. Stał, przyglądając się, jak Kibo łowi ryby na kolację. Zmarszczył brwi, gdy odwróciwszy się dostrzegł, że Kyla stoi tuż za nim.

– Nie forsuj nóg – rozkazał.

Posłuchała i poszła do obozowiska, by zzuć buty. Pęcherz narywał boleśnie, więc zauważyła z wdzięcznością, że to Kibo przygotowuje rybę z ryżem i ustawia prowizoryczny stół pod drzewami. Jedli w milczeniu, szum wody płynącej po kamieniach zastępował rozmowę i tło muzyczne. Ryba była chrupiąca i smaczna.

Potem Kibo podał *raksi* w małych czarkach. Mocna miejscowa wódka złagodziła ból w stopach Kyli tak, że niemal zapomniała o porannej sprzeczce z Chase'em. Oparła się o ciepłą od słońca skałę, czując, jak nagrzewa jej plecy. Chase siedział po drugiej stronie polanki, na pniu starego drzewa, trzymał w ręku czarkę i patrzył na rzekę.

– Miałaś rację – odezwał się.

– Na jaki temat?

– Na temat małowniczych obozowisk i zapachu stokrotek.

Uśmiechnęła się do siebie. Być może w końcu jakoś wszystko się ułoży.

Może ta wyprawa nie będzie się tak różnić od innych. Podobna trema pierwszego dnia, podobne klótnie z turystami, którzy przeciwstawiają się przewodniczcze. Ale kogo chciała oszukać? Na żadnej z jej wycieczek nie było nikogo takiego jak Chase. Nigdy nie było kogoś takiego w całym jej życiu.

Rzeka bulgotała i pluskała w oddali. Kibo nadmuchał materace i rozłożył śpiwory, a potem zniknął w ciemności, idąc spać. Kyla nie mogła już widzieć Chase'a, ale czuła, że on na nią patrzy i to wprawiało ją w zakłopotanie.

Z roztargnieniem masowała stopy. Ciska krępowała ją. Czy dlatego, że powinna go przeprosić? Czy on na to czekał? Odchrząknęła.

– Nie mam prawa wskazywać ci, jak masz żyć. Będziemy w czasie wyprawy wahać stokrotki, ale lekarze są przeważnie zbyt zajęci, by mieć wiele czasu na życie prywatne.

– Mój ojciec ma – głos Chase'a dobiegał z ciemności. – W każdą środę bierze wolne, by grać w golfa. Myślisz, że jestem wariatem, pracując tak ciężko prawie za darmo. Podobnie sądzą moja matka i moja narzeczona, eks-narzeczona.

– Czy dlatego właśnie jest twoją eks-narzeczoną?

Kyla nigdy nie zadawała członkom grupy osobistych pytań. W ten sposób i oni nie mogli ich stawiać, więc miała szansę chronić swoje sekrety. Ale tutaj, nad brzegiem bystrej rzeki, w balsamicznym powietrzu nocy, o tysiące kilometrów od świata, przechyliła głowę i patrząc w gwiazdy, rozmyślała o wszystkim, czego chciała się dowiedzieć o Chasie Cunninghamie.

– Dlatego, że mnie brała za wariata? Nie, to nie był jedyny powód – jego głos wydawał się obojętny, można się w nim było dosłuchać tylko odrobiny goryczy. – Nie chciała przyjechać do Nepalu i nie chciała żyć skromnie. Pragnęła zostać w Piedmoncie, gdzie mógłbym przyzwoicie zarabiać na życie.

– Czy to było takie godne potępienia?

– A czy wiesz, jaki jest w Kalifornii stosunek liczby lekarzy do liczby pacjentów?

– Jeden do dwudziestu?

– Prawie. A czy wiesz, ilu ludzi w Nepalu pozbawionych jest opieki lekarskiej? Oczywiście, że wiesz. Bywałeś w wioskach. Mój Boże, gdybym mógł ściągnąć tutaj ojca...

– Dlaczego nie możesz?

– Za późno. On ma praktykę, żonę, dom i musi prowadzić wystawny tryb życia. A ja nie chcę tego wszystkiego.

– Włącznie z żoną? – wymknęło się jej.

Usłyszała, że Chase wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

– Gdyby nie chodziło o moją matkę, ojciec mógłby robić coś pożytecznego, zamiast usuwać tłuszcz i zmarszczki próżnym kobietom.

Powietrze było ciche i ciepłe, ale za każdym razem, kiedy Chase wymawiał słowa „żona” albo „kobieta” Kyla czuła zimny dreszcz.

- Przecież to właśnie robią chirurdzy plastyczni.
- Są różne rodzaje chirurgów plastycznych.
- Są także różne rodzaje kobiet. Nie wszystkie są próżne i chciwe.
- Oczywiście, że nie – odparł zdziwiony. – Czy powiedziałem coś takiego?
- Powiedziałeś, że nie chcesz mieć żony – pragnęła, by zabrzmiało to niezobowiązująco, prawie obojętnie. Chase przestał chodzić i wpatrzył się w ciemność, żałując, że nie może zobaczyć twarzy Kyli. Czarował go jej lekko schrypnięty głos i pragnął, aby mówiła dalej, ale samo słuchanie mu nie wystarczało. Chciał przekonać się, czy oczy ma błyszczące, czy kąciki ust są wzniesione do góry, czy opuszczone.

- Nie chciałem – odrzekł, zastanawiając się, czy to jest jeszcze prawda. – W istocie problem nie polega na tym, że ja nie chcę żony, tylko że kobiety nie chcą mnie za męża. Nie mogę mieć im tego za złe. Trudno ze mną wytrzymać. Pragnę żyć po swojemu, a najpiękniejsza rzecz, jaką posiadam, to połowa tybetańskiego dywanu, który przechowuję w moim mieszkaniu. Rozumiesz więc, dlaczego nikt mnie nie chce.

- Powiedziałam, że cały dywan należy do ciebie – oświadczyła z naciskiem.
- Myślisz, że to pomoże?
- Czy pomoże ci znaleźć żonę, która chciałaby wyjść za lekarza, przyjmującego jako honorarium masło jaków oraz banany, a poza tym komenderującą ją bezustannie? Wątpię – uśmiechnęła się do siebie.

Z pieniędzmi czy bez nich, z ujmującymi manierami, czy zatroskany i niecierpliwy, Chase był najwspanialszą zwierzyną łowną, jaka kiedykolwiek uciekła z Piedmontu w stanie Kalifornia na tę stronę Himalajów. Ale Kyla wolałaby umrzeć, niż kiedykolwiek powiedzieć to głośno.

- A co z tobą? – Jego głos zabrzmiał z bliska. Usłyszała kroki i zobaczyła postać wyłaniającą się z ciemności. – Czy ciebie także nikt nie chciał? – spytał łagodnie.

- Właśnie – zgodziła się, wdzięczna, że podsunął jej wyjście. – Przewodniczki turystyczne są bardzo kiepskimi żonami. My także lubimy wydawać rozkazy i szukamy przygód.

Chase stanął teraz przed nią. Mówiła coraz wolniej, gdy pochylił się i podniósł ją, by mogli patrzeć sobie w twarze. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo drżą jej kolana i bije serce za każdym razem, gdy ogląda Mount Everest o wschodzie słońca, ale kolana drżały jej akurat teraz, a jedyną rzeczą, jaką widziała, był Chase.

- Mamy wiele wspólnego – powiedział.

Dotknął ustami jej warg, najpierw lekko, potem, gdy poczuł, że ona otacza go ramionami i przywiera do niego całym ciałem, zamknął jej usta pocałunkiem. Smakował słodycz wina ryżowego i słodycz Kyli, dopóki się

nie zmieszały. Zapomniał, że była jedynie jego przewodniczką i że minął dopiero pierwszy dzień bardzo długiej wyprawy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chase nie odczuł zaskoczenia, gdy Kyla cofnęła się naraz gwałtownie i oświadczyła, że czas iść spać. Przywykł już do szybkich zmian jej nastrojów. Nie rozumiał ich jednak, więc postanowił się dowiedzieć, co sprawiło, że niekiedy miękła w jego ramionach, a potem nagle przybierała ton instruktora turystycznego.

Przyglądał się, jak pewną ręką nalewała do kubka wodę z kanistra. Wciąż jeszcze oddychał ciężko, a jego ciało tęskniło do niej, lękał się jednak, że ona nie podziela jego pragnienia.

– Powinnaś mi wybaczyć. To moja pierwsza wyprawa, więc nie znam regulaminu. Czy teraz zagrasz capstrzyk, a potem urządzisz kontrolę łózek?

Odwrociła się, by spojrzeć na niego. W bladym świetle księżycy mógł dostrzec jej zaciśnięte usta.

– Chase, rozmawialiśmy o tym tyle razy. Powiedziałam już, co myślę o flirtach z mężczyznami z własnej grupy. W górach jesteśmy sami. Faceci tracą głowę dla przewodniczki, przewodniczka dla któregoś z facetów. To zdarza się często, ale...

– Staje się męczące – przerwał. – Rozumiem doskonale. Nowa wycieczka i nowy gość zakochany w przewodniczcze. Mogę teraz pojąć, dlaczego ustaliłaś te swoje reguły. Obok wielu innych wad mam jeszcze i tę, że nie umiem się szybko połapać. Widzisz, dla mnie to niezwykła wyprawa, a ty jesteś niezwykłą osobą. Tak mi się przynajmniej wydaje, ale nie będę pewny, dopóki nie dasz mi szansy, bym się o tym przekonał. Nie odtrącaj mnie, Kyla.

Gdy potrząsnęła głową, miał wrażenie, że w jej oczach błyszczą łzy, lecz mogło to być złudzenie, ponieważ szybko odwróciła się do niego plecami.

– Przecież ty mi przypomniałeś, że to nie wakacje, ale misja medyczna. W końcu nie jesteśmy na wyspach Bahama. Kiedy powiedziałam, że powinieneś znaleźć czas na podziwianie krajobrazów, nie miałam zamiaru...

– Nie miałaś zamiaru wykazywać swojej przewagi po wypiciu dwóch czarek *raksi* do kolacji. W porządku, przyjmuję do wiadomości. Ale czy chcesz mi wmówić, że nic nie czułaś, kiedy cię całowałem?

Rozżalony, chciał ją pochwycić, obrócić ku sobie tak, żeby musiała zaprzeczyć, patrząc mu w oczy, ale wzruszyła tylko ramionami i nie odrzekła nic. Odszedł, ociągając się. Musiała coś odczuwać.

Rozpiął śpiwór, rozciągnął go na dmuchanym materacu i położył się na wznak. Usłyszał jej kroki i szelest ubrania, gdy wsuwała się w swój śpiwór.

Obudził się przed świtem, ale nachylała się nad nim tak nisko i pachniała tak świeżo, iż pomyślał, że to sen. Zerwał się szybko, uderzając głową w jej brodę. Gdy położyła mu chłodną rękę na czole, był już przekonany, że śni.

– Przepraszam – rzekła cicho. – Kibo mówi, że w wiosce nad rzeką rodzi jakaś kobieta. Pójdziemy tam?

Skinął głową i sięgnął po buty.

– W czym problem?

– Mówią, że ma okropne bóle i że to trwa za długo.

– Za długo? Ile czasu?

– Nie wiem. Wiem co powiesz: że poród bywa bolesny i że trwa długo. Ale znam tych ludzi. Są twardzi i nie skarżą się, dopóki sytuacja nie staje się rzeczywiście poważna. Być może to normalny poród, ale Kibo myślał i ja myślałam... – napotkała wzrok Chase'a i przygryzła wargi.

– Wezmę parę rzeczy – powiedział.

Kyla odetchnęła z ulgą, taki bił od niego spokój i pewność siebie. Pomyślała, że gdyby była chora i potrzebowała pomocy, nie chciałaby mieć nikogo przy sobie, tylko Chase'a.

Władował narzędzia i lekarstwa do plecaka. Poszli w ślad za Kibo parę kilometrów wzdłuż rzeki, dopóki nie zobaczyli światła na polanie. Otoczyła ich wynurzająca się z ciemności grupa ludzi, a Kyla wyczuła atmosferę niepokoju. Jeden z mężczyzn podbiegł do Kibo i coś cicho mówił.

– Powiedział, że poród już się zaczął. Proszę, niech pan tam pójdzie.

Okrążyli niski ceglany budynek, a Chase zatrzymał się na zewnątrz, by umyć ręce pod kranem. Gdy skończył, skinął na Kylę.

– Bierz się do mycia.

– Ja?

– Możesz mi być potrzebna – dotknął jej ramienia, uśmiechając się uspokajająco. – Wiem, że będziesz mi potrzebna – dodał stanowczo.

Mężczyzna wskazał na niewielką chatę i odsunął zasłonę przy wejściu. Pośrodku izby, słabo oświetlonej naftową lampką, Kyla ujrzała kobietę z

wydełym brzuchem, miotającą się na legowisku. Obok stała, przyglądając się i załamując ręce, niska, starsza kobieta w luźnej sukni. Kyla bez wahania kazała jej przynieść czyste płótno i gorącą wodę.

Potem usiadła na brzegu łóżka, mierząc częstotść skurczów, gdy tymczasem Chase sprawdzał stopień rozwarcia szyjki macicznej. Położnica z oczyma pełnymi łez jęczała, wskazując na plecy.

– Bóle pleców – wyjaśnił Chase, marszcząc brwi. Kyla przewróciła kobietę łagodnie na bok i zaczęła ją masować. Gdy skurcze przybrały na sile, Kyla zaparła się mocno nogami w podłogę i masowała mocniej, by ułatwić położnicy parcie. Kobieta zlna potem dygotała z bólu. Chase nasłuchiwał przez stetoskop bicia serca płodu.

Godziny mijały. W końcu skurcze zaczęły się powtarzać co dwie minuty. Kyla miała ręce zdrętwiałe, mięśnie ramion obolałe, ale ocierała twarz kobiety z potu i szeptała jej słowa otuchy po angielsku i nepalsku. Chase wreszcie przyjął dziecko, był to chłopiec. Musiał podnieść go za nóżki i dać klapsa, by zaczął oddychać. Kyla pomyślała, że to najdłuższa chwila w jej życiu. Płacz dziecka, wypełniający izbę, doprowadził ją do łez, a gdy Chase przeciął pępowinę i złożył niemowlę w ramiona matki, musiała się odwrócić w obawie, że straci przytomność ze szczęścia i odczucia ulgi.

Pochwyciła przelotnie wzrok Chase'a i spróbowała ukryć łzy. Dla niego był to pewnie jeden z wielu porodów, lecz dla niej był to cud. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dziecko i matkę, Kyla wysunęła się na palcach z chaty, a Chase poszedł za nią. Wracali powoli brzegiem rzeki do obozowiska.

– To pierwszy poród, jaki widziałś?

– Tak – odparła zdyszana, jeszcze wstrząśnięta tym przeżyciem.

– Teraz wiesz, czego oczekiwać, gdy przyjdzie kolej na ciebie.

– Co? – spytała ze ściśniętym gardłem.

– Będiesz przygotowana na urodzenie własnego dziecka. Będziesz wiedziała, czego się spodziewać.

Szedł miarowym, pewnym krokiem po kamieniach, przedzierając się przez krzaki.

– Nie sądzę – Kyla podniosła wzrok na jasnyniebieskie poranne niebo. – Nie zamierzam mieć dzieci. Nie chcę nawet wyjść za mąż.

– Dlaczego nie? – zwołnił kroku.

– Dlaczego nie? – powtórzyła. Na szczęście podjął znowu szybki marsz, starała się więc mówić normalnym głosem. – Myślę, że to dość oczywiste. Co miałabym zrobić z mężem? Wciąż wyjeżdżam, nigdy nie ma mnie w domu. Co to byłoby za małżeństwo?

Nie odpowiedział, a Kyla nie była pewna, czy nie usłyszał jej głosu poprzez szum wartko płynącej rzeki, czy też nie umiał odeprzeć tych argumentów. Czula przemożną chęć wyjaśnienia sytuacji. Nie mogła jednak powiedzieć, że ktoś, kto podejrzewa u siebie płasawicę, nie powinien okazać się tak

nierozsądny i lekkomyślny, by zawierać małżeństwo i wydawać na świat dzieci. Musiała rozpaczliwie utrzymywać zwykłą zasłonę dymną, maskującą jej zachowanie. I jeszcze bardziej rozpaczliwie pragnęła, by Chase jej uwierzył.

– A co do dzieci – ciągnęła – co mogłabym zrobić z nimi? Czy widzisz mnie z niemowlęciem w plecaku?

Patrzyła na drogę z oczyma wbitymi w kamienie i korzenie, gdy Chase nagle odwrócił się.

– Owszem – rzekł, przyglądając się jej tak, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy. – Widzę cię z dzieckiem w plecaku, dzieckiem o szarych oczach, w kapelusiku, chroniącym jej buzię przed słońcem.

– Jej? – spytała. Chase trzymał ręce na ramionach Kyli, a ona zaciskała usta, żeby się nie rozpłakać. Można było mówić o tym zmyślnym dziecku, ale dawać mu szare oczy i wkładać kapelusik, to już za wiele... – Nie chcę męża ani dziecka. Nie mieszczą się w moich planach. Myślałam, że o tym wiesz – Kyla zdała sobie sprawę, że podnosi głos. Chase kręcił głową. Co powinna zrobić, by zrozumiał? Wzięła głęboki oddech. – Być może nie dostrzegasz tego, ale moje życie jest doskonałe takie, jakie jest. Nie ma nikogo, kto by czekał, aż wrócę do domu. Nikogo, kto by nudził, żebym przestała szukać przygód, nikogo, nikogo.

W oczach Chase'a zamiast zazdrości, jak się tego spodziewała, pojawiło się coś bliskiego współczuciu, jedyna rzecz, jakiej nie mogła znieść. Łzy nieopanowanie płynęły jej z oczu. Chase przyciągnął ją do siebie. Szlochała oparta o jego pierś.

– Do diabła! – zaprotestowała drżącym głosem. – Dlaczego mi nie wierzysz?

Głaskał jej włosy i przytulał, póki nie przestała drzeć. Czując, że koszula wilgotnieje mu od jej łez, odsunęła się, ale płakała dalej. Nie chciała litości, pragnęła, by ją objął. Nigdy nie czuła w duszy takiego zamętu. Wzięła ją za rękę i poprowadził ścieżką.

– To była długa noc – tłumaczył. – I pomogliśmy dziecku przyjść na świat. To wzruszające przeżycie i masz prawo płakać.

– Być może mam prawo płakać, ale nie mogę wpisać na swoje konto dziecka. To twoja zasługa. Kim jesteś właściwie? Uważałam cię za okulistę, ale zobaczyłam w roli położnika, a teraz mówisz mi, kiedy mogę płakać. Czy jesteś także psychiatrą?

Roześmiał się, przyciągnął ją do siebie i ramię w ramię wrócili do obozowiska. Kibo czekał na nich z gorącą herbatą. Chase skłonił Kyłę, by usiadła obok niego na płaskim odłamie skalnym. Pierwsze promienie słońca rzucały blask na brzegi płynącej przed nimi rzeki.

– Jestem lekarzem domowym, internistą.

– Umiesz robić wszystko – rzekła z przekonaniem.

– Nie wszystko – odparł kręcąc głową, a słońce zapalało iskry w jego włosach.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Spłynęło na nią poczucie spokoju i ukojenia. Nadszedł nowy dzień, a ona stała się nową kobietą, oczyszczoną wylanymi łzami, odrodzoną przez cud nowego życia, wzruszoną przez mężczyznę, który siedział obok, promieniując ciepłem, współczuciem i czymś jeszcze. Co to było? Odwróciła głowę. Chciała wyczytać zbyt wiele z jego zachowania. Był lekarzem, przyzwyczajonym do niesienia pomocy chorym i bezradnym, człowiekiem o silnym poczuciu obowiązku.

Chase pił herbatę, zadowolony, że ma jeszcze jakieś inne zajęcie poza gapieniem się na Kylę. Miała zaróżowione policzki i oczy wciąż jeszcze błyszczące od łez. Nie mógł zapomnieć, jak radziła sobie w zaimprovizowanej sali porodowej. Masowała kobiecie plecy, zmieniała jej zimne okłady na czole, obliczała częstotliwość skurczów, jak gdyby robiła to przez całe życie. A przecież zajmowała się wspinaczką, rozbijaniem obozów, spływami po rwących górskich rzekach. Jak się zdaje, odczuwa lęk tylko przed jednym: przed nim. Co takiego zrobił, by na to zasłużyć? Czy chodziło o to, że zaczął mówić o dziecku? Twierdziła, że nie potrzebuje nikogo. Dostrzegł jednak tęsknotę, którą starała się ukryć. Tak dokładnie wyobrażał ją sobie z niemowlęciem, że widział samego siebie, jak wyciąga rękę, by go dotknąć i czuł małe paluszki, zaciskające się wokół jego dłoni.

Nagle odstawił kubek i zabrał się do przepakowywania plecaka. O czym on, u licha, myśli? Umyślnie zaczął sobie wyobrażać, jak by to było, gdyby sam, mając rodzinę, pracował po osiemnaście godzin na dobę. Z góry wiedział, jak wymagająca może być żona. Wykorzystywałaby jego czas, konto bankowe i uczucia. Powinien więc rozumieć, dlaczego Kyla nie chciała wyjść za mąż. Nie ma nic cenniejszego niż wolność, nieskrępowana możliwość dysponowania własnym życiem. Nie mógł jednak wymazać z pamięci tego, co odczuwał, gdy patrzyła na niego spod mokrych rzęs albo gdy ją dotykał, całował. Była to czułość, podniecenie i coś jeszcze... Mocno zasunął zamek plecaka.

– Może powinniśmy zrobić sobie wolny dzień – zaproponował. – Niewiele spałaś tej nocy.

– Czuję się dobrze, nawet wspaniale. Nie możemy tracić czasu – wstała i spojrzała na skały.

Chase poszedł za jej spojrzeniem. Jeszcze nie było widać pokrytych śniegiem szczytów, ale istniały przecież tam, gdzieś za najbliższym wzniesieniem, za górą, i dopóki ich nie dostrzegą, będą jeszcze bardzo daleko od celu.

Pół godziny później wędrowali już dalej. Na polach, zamiast ryżu, pojawiła się kukurydza. Skądś z góry, z wysoka, spływał wodospad. Kyla zeszła ze szlaku i poprowadziła ich ścieżką biegnącą za wodospadem. Koszule i swetry

zwilgotniały im w wodnej mgłę, a ona wysunęła głowę, by woda spływała jej po włosach.

– Jaka zimna! – zawołała.

Wtedy zjawił się na swój cudowny sposób Kibo, niosąc ręcznik, wydobyty z głębin podróźnej torby. Chase odebrał mu go i owinał nim głowę Kyli. Przyciągnął ją do siebie, odsuwając od wodospadu, i spostrzegł, że Kibo zniknął mu już z oczu. Ten człowiek miał niesamowity dar przepadania w najważniejszym momencie. W ręczniku, owiniętym wokół głowy, wyglądała jak nimfa, mieszkająca w wodospadzie. Łudziła go, czarowała, doprowadzała do szaleństwa. Ich usta się spotkały. Nie odepchnęła go, przeciwnie, uniosła ramiona i objęła go mocno, jakby pragnęła tego tak bardzo jak on. Szum wody, rozpylona w powietrzu mgła i smak jej ust napelniały go niewypowiedzianą rozkoszą. Wreszcie odsunął ją na odległość ramienia, wpatrując się w jej twarz. Co to były za nie cierpiące zwłoki pytania, które miał jej zadać? Zmarszczył brwi.

– Dlaczego – zaczął.

– Kto wie, dlaczego? – wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Nie pytam, dlaczego mnie całowałaś. Pytam, po pierwsze, dlaczego zaofiarowałaś się, że pójdziesz ze mną, a potem, no tak, dlaczego mnie całowałaś?

Próbował uśmiechnąć się do niej, ale odwróciła się i Chase mógł jedynie wpatrywać się w tył jej głowy.

– Impuls – wyjaśniła lekkim tonem. – Czasami tak właśnie się zachowuję. Potrzebny ci był przewodnik, więc zdecydowałam, że to ja nim zostanę. Płakałam, bo dziś rano zobaczyłam nowe życie, przychodzące na świat. Dla ciebie to banalna sprawa, ale dla mnie to było coś niezwykłego. A jeśli chodzi o pocałunki – szła naprzód z podniesionymi do góry dłońmi – cóż mogę powiedzieć? Ta mgła i poranek, i ta chwila... Żle się stało, bo chcesz doszukać się w tym jakiegoś znaczenia.

– Patrz na mnie, gdy mówisz takie rzeczy – chwycił ją za ramię zmuszając, by się odwróciła. – Bo to znaczyło dla mnie dużo więcej niż mgła i poranek. Było w tym coś więcej. Ja to czułem i ty także. A poza tym mam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego tak się boisz do tego przyznać? Impuls? Nie wierzę ci – puścił ją i stąpając ciężko poszedł przodem.

Jak długo będzie ciągnęła tę grę? Wyczuwał jej gniew, gdy wędrowali bez słowa, idąc wąwozem za równie milczącym Kibo. Pola kukurydzy ustąpiły z kolei miejsca gęstym, mieszanym lasom. Gdzieniedzie rosły grupy sosen. Zaczął wiać ostry wiatr, więc Chase sięgnął do plecaka po sweter. Spojrzał na Kylę, idącą kilka metrów za nim, wciąż w koszuli z krótkimi rękawami, ze zwisającymi pasmami mokrych włosów. Zaczekał, póki się z nim nie równała. Nie zważał na jej gniew, nie miał zamiaru pozwolić, by się przeziębila.

– Włóż sweter.

– Nie jest mi zimno.

– Masz wciąż wilgotne włosy – zagroził ścieżkę, by nie mogła go wyminąć. – Kibo! – zawołał jak na sali operacyjnej. – Ręcznik!

Zaciskała zęby, gdy szorstko wycierał jej włosy. W jego dotyku nie było zmysłowości, nic, na co mogłaby się uskarżać. Był lekarzem, a ona przemoczoną, zziębniętą pacjentką. Patrzył na nią krytycznie. Włosy otaczały wilgotną aureolą jej twarz, której wyraz nie miał w sobie nic anielskiego.

– Skończyłeś? – spytała.

– Sweter – nalegał cierpliwie.

– Jest w plecaku.

Odwrociła się sztywno, a on zsunął plecak z jej ramion. Gdy znalazł sweter, wciągnął go dziewczynie przez głowę i skinął z aprobatą.

– Tak lepiej.

– Odkąd to stałeś się moim opiekunem? Od lat uprawiam wspinaczkę i nikt jeszcze nie mówił mi, kiedy mam wkładać sweter, ani nie wycierał mi włosów.

– Nawet twoja matka? – spytał spokojnie.

– Moja matka nie była himalaistką – powiedziała łagodniejszym tonem. – W czasie, gdy dorastałam, przeważnie chorowała. Zabrał mnie ojciec, który miał dość rozsądku, by zostawić mnie samej sobie, więcej rozsądku niż ty.

Zabolały go te słowa tak, jak tego pragnęła. Stał jednak patrząc na nią i czekając, aż przestanie mówić.

– Nastąpiła szybka zmiana pogody – tłumaczył.

– Nawet doświadczeni turyści, porwani pięknem krajobrazu, mogą zapomnieć zadbać o siebie. Jeśli zziębniejesz, będziemy musieli zatrzymać się na dzień lub dwa, a na to nie możemy sobie pozwolić. – Jakby chcąc sprawdzić temperaturę, położył rękę na jej ramieniu, ale odrzuciła go.

– Chodźmy – zakomenderowała.

Tym razem to ona objęła przewodnictwo, a zatrzymali się dopiero na lunch w sosnowym lasku, wysoko nad przejrzystym strumieniem, szumiącym w dole. Kibo przyrządził smakowitą zupę, którą jedli w kłopotliwym milczeniu.

– Co się stało z twoją matką? – spytał wreszcie Chase.

Podniosła oczy znad miski z zupą.

– Jej stan się stale pogarszał. Umarła, gdy miałam dwadzieścia lat.

– Jak długo chorowała?

– Długo. Odkąd pamiętam – westchnęła, jakby wyczerpała cały zapas cierpliwości. Odstawiła miskę i wbiła wzrok w czubki swych butów. – Czy moglibyśmy mówić o czymś innym? To jest dla mnie trudne, nawet teraz.

– Przepraszam. Czasem mówienie o tym pomaga.

– Tym razem nie – wstała. – Jesteś już gotowy?

– Jasne.

Był tak bardzo pewny siebie, a najgorsze, że miał rację. Zmarzła, ale nie chciała tracić czasu na włożenie swetra czy wysuszenie włosów. Mimo to nawet na mękach nie przyznałaby, że postąpił słusznie. Udreńczył ją tam przy wodospadzie, jego pocałunki były najbardziej wyrafinowaną torturą, jaką mogłaby sobie wyobrazić. Nie powinna na to pozwolić. Zadrzała na wspomnienie jego gorących warg. Dostrzegł to.

– Co się stało?

– Nic – czuła, że się rumieni. – Dziękuję ci. Wyschłam, jest mi ciepło i jestem gotowa do drogi – uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Odpowiedział lekkim uśmiechem, który stopił resztki jej urazy.

– Zgoda? – wyciągnął rękę.

– Zgoda – odetchnęła z ulgą.

A więc wrócili do punktu wyjścia, sprzed pocałunków, kłótni, wrzuseń tego poranka.

Kyla lekkim krokiem poszła za Chase'em. Po bezchmurnym niebie krążyły czarne jak smoła kruki. Późnym popołudniem przechodzili przez małe osiedle, gdzie przyglądały im się bezzębne stare kobiety i minęły stado osłów z dzwonekami na szyi.

– To był niegdyś główny szlak między Nepalem a Tybetem, dopóki nie zbudowano wiszącego mostu, który zmienił sytuację – wyjaśniła Kyla, spoglądając na płynącą w dole rzekę.

Za zakrętem widać było wąski mostek dla pieszych, długą stalową wstęgę, zawieszoną nad dopływem rzeki Paundi Khola.

– Czy mamy przejść po moście? – spytał niedbale Chase.

– Jeśli mamy przedostać się na drugi brzeg... – Kyla zwolniła kroku.

– Pomyślałem, że ludzie przeprawiali się na drugą stronę, zanim zbudowano most, dlatego więc nie pójdziemy tamtą drogą, jakakolwiek by była.

– Przejście przez tę rzekę to droga o wiele krótsza. Dlatego zbudowano most – Kyla zatrzymała się i odwróciła. Chase był błady. – Nie masz chyba lęku wysokości?

– Ja? – spytał z niedowierzaniem. – Czy proponowałbym wyprawę w góry, gdybym cierpiał na akrofobię? Ja tylko nie lubię mostów.

– Nie patrz w dół – poradziła.

– Łatwo powiedzieć.

– Będę cię trzymać za rękę – zaofiarowała się. Niewielu mężczyzn przyznałoby się do lęku przed czymkolwiek, pomyślała. Stał w miejscu jak wryty.

– Za obie ręce? – zapytał ze słabym uśmiechem. – Ach, Boże!

– Chase!

Trzymając jego dłonie w swoich przyciągnęła go bliżej. Starła się zatrzymać jego wzrok, a jej oczy zapewniały, że nie spadnie, że ona nie pozwoli mu spaść. Szła powoli tyłem przez most, cały czas patrząc mu w

oczy i ciągnąc go za rękę. Most chwiał się na wietrze. Trzymał się jej rąk tak silnie, że pomyślała, iż są ze sobą związani na całe życie.

– Nie patrz tam teraz – ostrzegła. – Ale w dole jest mała wioska, zwana Palenksangu, gdyż kiedyś, dawno, był tam drewniany most. „Palenk” to deska, a „sangu” to nepalska nazwa mostu.

Utkwił w niej oczy, ale nie zdawało się, by słyszał choć jedno słowo. Powinieneś mnie słuchać, Chase. Modliła się w duchu, i nie patrzeć w dół, po prostu słuchać.

– To fascynujące – powiedział Chase przez zaciśnięte zęby. – Znasz jeszcze jakieś opowieści?

– Wkrótce przybędzie bogini Lakszmi. Nie byłam nigdy przedtem w Nepalu na Święcie Świąteł. A ty? – Pomyśl o czymś innym, mówiła w duchu, o czymkolwiek, byle nie o moście i nie o długim spadaniu w dół do rzeki, proszę, Chase.

– W obecnej sytuacji nie przypuszczam, bym mógł tam być również w tym roku – jego twarz była mokra od potu.

– Ależ będziesz, a ona wejdzie przez okno albo przez drzwi i przejrzy księgę twoich uczynków. Jeśli będzie zadowolona, ześle ci pomyślność na cały przyszedły rok. – Jeszcze tylko kilka kroków, myślała. Idź naprzód. Możesz.

– W tej chwili nie bardzo interesuje mnie pomyślność. Chciałbym tylko pożyć jeszcze dość długo, by móc przejść przez ten most.

– Możesz to zrobić – zapewniała. Jej obcasy zsunęły się z metalowej powierzchni i natrafiły na ziemię. Ściągnęła go z mostu i przytuliła mocno. – Widzisz, przeszedłeś.

– Nie, to ty mi pomogłaś – kolory powoli wracały na jego twarz, rozluźniły się zaciśnięte usta, głos stał się głęboki i pewny. – Dziękuję – pochylił się i pocałował ją w policzek.

Nie tego pragnęła. Przebrnęli przez most razem, trzymając ręce splecione tak mocno, że czuła się częścią Chase’a, a on tylko pocałował ją w policzek. Była przygnębiona. Przygoda się skończyła, ale jej ciało pragnęło czegoś więcej.

Kibo zrobił lemoniadę z proszku, więc usiedli w sosnowym lasku, by ją wypić. Obserwowała Chase’a, który skończywszy napój, położył się naznak na dywanie z sosnowych igieł.

– A teraz opowiem ci pewną historię – oświadczył. Kiwnęła głową, bojąc się odezwać, by głos nie zdradził jej rozczarowania.

– Był sobie raz w dalekim kraju zwanym Kalifornią chłopiec. Rodzice chcieli pozbyć się go na lato.

– Dlaczego?

– Bo w ten sposób mogliby wyjechać do Europy, gdzie jego ojciec miał uczestniczyć w konferencji medycznej.

Kyla usiadła tak, by widzieć jego twarz, lecz Chase osłonił ręką czoło, chroniąc oczy przed słońcem.

– No więc wysłali go na obóz. To nie była szkoła przetrwania czy coś w tym rodzaju. To był obóz, gdzie były łódki, siatkówka, konie pod wierzch. Znajdował się nad rzeką Eel i był bardzo kosztowny.

– Czy chłopcu podobało się tam? – Kyla przewróciła się na brzuch i wdychała zapach sosnowych igieł.

– Przypuszczam, że mu się podobało. Może na początku czuł się samotnie, ale było to lepsze niż nudy w Europie.

– A czy nudziłby się w Europie?

– Tak twierdzili jego rodzice. W każdym razie pewnego dnia miała odbyć się wycieczka i dzieciarnia poszła z namiotami i plecakami obozować na drugim brzegu rzeki. Chłopiec został przewodnikiem i poprowadził dzieciaki na most.

Przerwał, a Kyla przestała słyszeć szum rzeki i wiatru w gałęziach. Słyszała tylko bicie własnego serca.

– Co to był za most?

– Most dla pieszych, zawieszony na stalowej linie, z przytwierdzonymi do niej deskami i ze sznurowymi poręczami. Wyglądał solidnie, ale gdy chłopiec wszedł na niego, zerwał się jeden ze sznurów, potem drugi. Myślę, że most nie był często używany w czasie zimy, a oni byli pierwszą grupą, która szła tamtędy latem.

– I co się stało?

– Most się zerwał z drugiej strony, a chłopiec ucepiony poręczy został rzucony na skały, ale zamiast rąbnąć o kamienie trafił na drzewo, które powstrzymało impet. Chłopiec myślał jednak wtedy, że zginie.

– I co dalej? – nalegała. – Kto cię uratował?

– Mnie? Dlaczego myślisz, że to byłem ja? – mrugnął do niej porozumiewawczo. – Wspiąłem się po deskach i tego dnia mieliśmy jakąś inną zabawę, piłkę wodną czy coś w tym rodzaju.

– Wspiąłeś się po deskach? – zapytała niedowierzająco. – Czy to znaczy, że nie byłeś nawet ranny?

– Byłem podrapany i straciłem śpiwór oraz nowy plecak.

– I nigdy już nie przeszedłeś przez most? – spojrzała na niego, ale zamiast wysokiego, barczystego mężczyzny z zarostem na policzkach, widziała małego, przerażonego chłopca.

– Nigdy, aż do dzisiaj. I przez ten most nie przeszedłbym, gdybyś mnie nie zmusiła – przewrócił się na bok i spojrzał jej w twarz. – I co dalej, nieustraszona przewodniczko? – spytał miękko.

Tego już nie mogła znieść. Ciepło jego spojrzenia, zapach igliwia, dźwięk jego głosu sprawiły, że załamały się resztki jej panowania nad sobą, jak załamały się deski pod stopami chłopca. Ale tym razem to Kyla wisiała nad

przepaścią, podejmując największe ryzyko swego życia. Oplotła ramionami szyję Chase'a i przyciągnęła jego twarz, pozwalając sobie na pocałunek.

Jęknął cicho, całując ją w powieki i szyję. Potem, opierając dłonie na ziemi, podniósł głowę i popatrzył jej w oczy.

– Co to był za dzień!

Tym razem nie prosił o wyjaśnienia. Nie chciał usłyszeć, że działała impulsywnie. Tego dnia przeszli razem przez most. Być może nie tylko przez ten jeden.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słońce zachodziło za wysokie drzewa, kiedy Chase przewrócił się znów na plecy. Na jego twarzy malował się ekstatyczny zachwyty. Przyciągnął Kylę, układając jej głowę na swoim ramieniu.

– Powiedz Kibo, żeby rozpiął namiot nad naszymi głowami. Nie ruszę się stąd ani na krok.

Kyla uśmiechnęła się, czując szorstkość jego zarostu. Wyobraziła sobie miłą bliskość ich nowej zażyłości. Miękki odgłos sosnowej szyszki, uderzającej niedaleko nich o ziemię, wyrwał ją z marzeń. Czy oszalała? Czy straciła resztki rozsądku? Czyż wyobrażała sobie, że mogłaby spać znów w jego pobliżu, nie kochając się z nim? Raz już to zrobiła, ale to było, zanim poznała Chase'a, zanim dowiedziała się, jak brzmi jego głos, gdy się boi, jak spogląda, gdy ona budzi go w środku nocy, jakie uczucia wywołuje w niej dotyk jego rąk. Dzięki Bogu, zabrali dwa namioty. Nie miała już siły, by mu się opierać, ale musiała je odzyskać lub odwrócić się i odejść. Seks jest dla ludzi zdrowych, normalnych, którzy mogą się zakochać, zawrzeć związek małżeński, mieć dzieci. Tacy jak ona nie mogą podejmować ryzyka. Jej współlokatorka w college'u zaszła w ciążę, choć stosowała środki antykoncepcyjne i musiała zapłacić za to drogo – aborcją. Kyla wiedziała, że Jenny nigdy nie przestała żałować nie narodzonego dziecka. Jedynym skutecznym środkiem antykoncepcyjnym była wstrzemięźliwość – przynajmniej dla niej.

– Musisz jednak zrobić ten krok – powiedziała wstając i wyciągając ręce, by mu pomóc. – Musimy rozbić obóz w pobliżu wody, Kibo poszedł przodem, by kupić w wiosce kurczaka.

Podał jej ręce i pozwolił, by go postawiła na nogi.

– Dobrze.

Chciał ją objąć, ale przemknęła pod jego ramieniem. W jego oczach pojawił się błysk zaskoczenia, wahanie, które sprawiło, że żołądek podjechał jej do gardła. Pewnie wyobrażał sobie, że ona bawi się zbliżając i oddalając, by sprawdzić jego reakcje. Gdyby powiedziała prawdę, nie patrzyłby na nią w ten sposób, zrozumiałby. Tak chciała, by rozumiał. Jednak czułby również dla niej litość, a to było nie do przyjęcia. Wszystko było lepsze niż litość.

– To niedaleko i cały czas z górki.

Sztywnymi palcami włożyła plecak i guzdrała się przy sprzączce w pasie. Chase pomógł ją zapiąć, a Kyla przyglądała się temu bezradnie.

– Hej – powiedział, podnosząc jej brodę, by spojrzała mu w oczy. – Jeśli martwisz się tym, co tu się stało, przestań. To nie miało dla mnie większego znaczenia niż dla ciebie. Wreszcie zrozumiałem. Jesteś impulsywna, robisz rzeczy, o których chciałybyś potem zapomnieć i nie ponosić żadnych konsekwencji, prawda?

Chciała zaprotestować, ale gardło miała zbyt ściśnięte, by się odezwać. Nie musi nic wyjaśniać, robił to za nią. Myślał, że jest impulsywną idiotką, która rzuca się na mężczyzn, a potem ich odpycha, gdy chcą się zbytnio do niej zbliżyć. No to chyba w porządku? Nie, jednak nie, myślała, wlokąc się powoli ścieżką. W każdym razie lepsze to niż litość, która była jedyną alternatywą.

Gdy wreszcie dotarli na położoną w dole polanę, Kyla oddychała z trudem, a nogi miała jak z waty. Gdzież się podziała jej wytrzymałość? Wędrówka z Chase'em była wyczerpująca. W ciągu jednego dnia przechodziła z gór w doliny w sensie nie tylko fizycznym, lecz i emocjonalnym. Stała, opierając się o drzewo, i wdychała chłodne, wilgotne powietrze. Po krótkim odpoczynku rozbili razem z Chase'em namiot. Potem on odszedł.

Kibo pojawił się wreszcie z pustymi rękami, gwałtownie kaszłąc. Przepraszał kręcąc głową.

– Jest święto Moh Puja – wyjaśniał. – Zapomniałem. Wszędzie zamknięte, ale gdy opowiedziałem o doktorze i o pani, właściciel sklepu bławatnego zaprosił państwa dziś wieczorem na uroczystość.

Kyla przymknęła oczy. Wszystko, o czym marzyła, to zjeść przyrządzoną przez Kibo potrawkę z kurczaka, a potem wsunąć się we własny śpiwór, we własnym namiocie. Nie chciała mieć do czynienia z nikim obcym, ale przede wszystkim nie chciała mieć nic do czynienia z Chase'em i była pewna, że on czuł to samo.

Gdy otworzyła usta, by się wymówić, usłyszała za sobą kroki Chase'a. Nawet w szybko zapadającym mroku mogła zauważyć sprężystość i energię jego ruchów.

– Święto? – spytał, przenosząc wzrok z Kibo na Kylę. – Zawsze chciałem

wiedzieć, jak to się odbywa. Zwykle nie zapraszają obcych. Czuję się zaszczycony, a ty nie? – przyglądając się twarzy Kyli, dostrzegł zmęczenie w głębokich liniach wokół ust.

– Ja też czuję się zaszczycona – zgodziła się. – Ale jestem także zmęczona.

– Nie możesz być aż tak zmęczona. Przecież dla ciebie to normalny dzień roboczy. To ja powinienem być wykończony, a ty powinnaś mnie namawiać do uczestnictwa w miejscowych obrzędach.

Nie chciał zwracać uwagi na skurcze w nogach, których nabawił się podczas schodzenia do doliny, i próbował zlekceważyć rozczerowanie, jakie odczuwał na myśl o nagłych wahaniach jej nastrojów.

– Zamiast dziesięciu osób, którymi musiałabyś się zajmować, masz tylko mnie. A ja mam tylko ciebie – mruknął półgłosem.

Lepiej byłoby pójść do wsi czy gdziekolwiek, byle nie zostawać tu, gdzie byłiby zmuszeni patrzeć na siebie ponad miską ryżu i udawać, że nie dostrzegają panującego między nimi napięcia.

– Świetnie – wzruszyła ramionami. – Ale muszę ci z przykrością uświadomić, że straciłeś dzień kultu kruka, psa i świętej krowy. A także, że na trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku przypada ponad sto dwadzieścia świąt. Ale...

– Co to jest Moh Puja? – przerwał.

– Święto wielbienia samego siebie. To akurat dobrze się składa.

– Dla kogo? Dla mnie czy dla ciebie?

– Oczywiście, że dla mnie. Ty jesteś pełnym poświęcenia lekarzem, pracującym dla innych.

– Nie zauważyłem, żebyś darzyła się uwielbieniem – zaoponował, przyglądając się jej badawczo.

– Doprawdy? Nie muszę, gdy jestem otoczona grupą, która robi to, co każe i nie staje okoniem – głos Kyli brzmiał lekko, ale było już zbyt ciemno, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy.

Szła do namiotu, bo chciała się umyć. Szerpa zostawił w środku kociołek z gorącą wodą. Kyla zapaliła swoją latarkę i zrzuciła na stos w rogu namiotu sweter, koszulkę i spodnie. Potem ściągnęła bieliznę i drżąc stanęła naga. Nacieriała ciało gąbką, zwilżoną gorącą wodą, i z każdym ruchem czuła się nie tylko czystsza, ale i silniejsza.

Chase mógł widzieć cień na ścianie namiotu. Sądził, że panuje nad swymi uczuciami, ale zarysy jej stromych piersi, płaskiego brzucha i długich nóg sprawiły, że serce waliło mu w piersi młotem.

Usiłował sobie wmówić, że to zwyczajna męska reakcja na zwyczajną kobietę, wywołana faktem, że był przyzwyczajony widywać tę właśnie kobietę w bezkształtnym ubiorze turystycznym. Ale jeśli Kyla była zwyczajną kobietą, to on był Edmundem Hilary w trakcie pierwszej wspinaczki na Mount Everest.

Zamierzał pójść do własnego namiotu, gdzie mógłby także rozebrać się i zmyć z siebie dwudniowy brud, ale stał jak wrośnięty w ziemię.

Jej ruchy były tak pełne wdzięku, że nie mógł oderwać oczu. Chciał tam wejść, wyrwać i odrzucić gąbkę. Mógłby wziąć mydło w ręce i zaczynając od ramion pozwolić dłoniom ześliznąć się w dół... Teraz już zaczęła się wycierać, więc w końcu zebrał siły i poszedł do swego namiotu. Czego chcesz, pytał samego siebie, gorliwie szorując skórę. Przewodniczki, która jest na poły gejszą, a na poły nadkobietą. Nie, powtarzał, wycierając się. Chciał tylko Kyli, ale sądził, że nie zasługuje na nią i nie dostanie jej, jeśli to „odczep się” wypisane na jej twarzy należało brać poważnie.

Miała jednak łagodniejsze spojrzenie, kiedy skończywszy toaletę spotkali się na ścieżce. Może to był tylko efekt księżycowych promieni, oświetlających czyste włosy i twarz. Nie był pewien.

– Przyjemnie pachniesz – powiedziała z uznaniem, pociągając nosem.

– A ty wyglądasz jak bogini Lakszmi, świecąca w ciemnościach – odrzekł, ujmując jej dłoń.

Śmiejąc się i trzymając za ręce, poszli za Kibo, przecięli dolinę i weszli w las.

– Lakszmi nie świeci sama – wyjaśniała. – To jej drogę oświeca się lampami.

– Kibo oświeca twoją drogę latarnią. Czy to wystarcza?

– Dla mnie tak, ale nie dla Lakszmi. Ludzie powinni wysprzątać domy na jej przyjęcie i ozdobić je girlandami kwiatów, jeśli pragną pomyślności w nadchodzącym roku.

– To piękne. Czego mi użyczysz, jeśli wysprzątam swój namiot i obsypię go kwiatami? – zapytał, przygarniając ją do siebie.

Szli drogą w milczeniu, wpatrzeni w latarnię, kołyszącą się w ciemnościach w hipnotycznym rytmie. Zaczął się zastanawiać, czy usłyszała jego słowa.

– Nie mogłabym ci zagwarantować pomyślności – odpowiedziała wreszcie.

– Nie żądam gwarancji – odparł niskim głosem.

– Och, Chase! – było to błaganie, płynące z głębi serca, więc pożałował, że rozpoczął tę rozmowę.

– Nie przejmuj się. Przepraszam. Ale jest coś, czego nie rozumiem. Coś, czego nie wiem o tobie?

– Tak – przyznała i w tej chwili dostrzegła światła wioski, przebłyskujące między drzewami.

Kibo zaprowadził ich do rodziny Thakuri. W drzwiach domu czekali wszyscy, od osiemdziesięciolatek po paromiesięczne niemowlęta.

– *Namaste* – wołali.

– *Namaste* – odpowiedzieli razem Chase i Kyła, składając ręce i pochylając głowy.

Natychmiast otoczyły ich chichoczące dzieci, a rodzice, uśmiechając się

serdecznie na powitanie honorowych gości, wprowadzili ich do wnętrza. Nieliczne sprząty zostały odsunięte pod ściany tak, że pozostawało wolne miejsce na środku, gdzie wszyscy mogli usadowić się na podłodze. Rodzina ułożyła już z ziarek ryżu i świecącego proszku święte koło, mandałę, dla każdego z obecnych i jedno dla Yamy, króla śmierci. Chase wymienił spojrzenie z Kylą.

– Ja usiądę obok koła królewskiego – zgłosił się na ochotnika.

– Nie boję się śmierci – potrząsnęła głową Kyla. – Nie ma śmierci bez życia.

Jej słowa zaskoczyły go. Czy to one stanowiły klucz do tajemnicy Kyli Tanner? Dręczyła go ta zagadka, wpatrywał się w Kylę, usiłując przeniknąć maskę: gładką twarz, rozwiane na wietrze włosy, oczy szare jak dym. Czy kiedyś zaufa mu na tyle, by się zwierzyć?

Mała dziewczynka przydreptała do Kyli, ściskając w drobnych rączkach tacę z owocami i orzechami. Potknęła się, przydeptawszy rąbek swego jedwabnego sari, i obsypała Kylę rodzynkami, pestkami słonecznika, migdałami i suszonymi figami. Wielkookie dziecko wybuchnęło płaczem, więc Kyla tuliła je, dopóki nie przestało szlochać i nie usadowiło się spokojnie na jej kolanach z buzią pełną rodzynek.

Kyla odgarnęła proste, czarne włosy dziewczynki, poprawiła czerwoną wstążkę, a serce wypełniła jej nie znana tęsknota. Wiedziała, że Chase patrzy na nią. Odczuwała żar jego spojrzenia, niemal słyszała słowa: „Mówiłem ci. Czyż nie jest dobrze trzymać w ramionach dziecko?”. Nie mogła zaprzeczyć. Ciężar małego ciała, miękkość skóry, niezatarty zapach dzieciństwa wywoływały słodkie i bolesne uczucie, które rozdzierało jej duszę.

Wtedy wniesiono główną potrawę: półmiski kurcząt z ryżem i placuszki smarowane masłem jaków. Kyla wydzielala małe kawałeczki dziecku trzymanemu na kolanach. Sama przyjęła czarkę *rakli*. Wódka spaliła jej gardło, ale pozostawiła uczucie odprężenia, jak gdyby nie trzeba już było ruszać się z miejsca.

Po przeciwnej stronie izby Chase podniósł swoją czarkę w niemym toaście, co przypomniało jej wieczór w „Yak and Yeti”, gdy rozlała wino na jego widok w zatłoczonej restauracji. Był w stanie jednym gestem wzniecić w niej płomień, ale może odczuwała po prostu działanie mocnego ryżowego alkoholu? Uśmiechnęła się nieśmiało, a on odpowiedział też uśmiechem, starając się zatrzymać jej wzrok. Teraz podawano z rąk do rąk dużą misę pełną płatków kwiatów. Mała dziewczynka obsypała nimi głowę i ramiona Kyli, lecz wzrok Chase’a wciąż ją więził. Nigdy dotąd nie była zakochana, nigdy nie czuła, że nie może bez kogoś żyć, nigdy nie wiedziała, że cierpienie i szczęście mogą współistnieć tak, jak współistnieją życie i śmierć.

Jeśli tak było, to rozumiała wreszcie o czym mówią wszystkie pieśni i poematy. Ale w pieśniach i opowieściach miłość trwa wiecznie, a ta miłość

będzie trwała dwadzieścia cztery dni, a potem rozplynie się w rozrzedzonym górskim powietrzu na wysokości czterech tysięcy metrów równie szybko, jak się pojawiła gdzieś w zadymionej dolinie Katmandu.

Wstała nagle spostrzegłszy, że przyjęcie już się skończyło. Potem znaleźli się na zewnątrz, na drodze, wykrzykując w ciemności podziękowania i najlepsze życzenia w stronę hłaśliwej, roześmianej rodziny, tłoczącej się w drzwiach wejściowych.

Chase objął Kylę i przytulił mocno. Ramię w ramię poszli drogą. Czy wiedział, że ona go kocha? Czy mu na tym zależało? A może zakochała się w kimś, kto jej nie kocha? Czy to ma znaczenie? Chciało się jej śmiać i płakać, i powiedzieć o tym komuś. Chciała o tym powiedzieć Chase'owi, ale nie powie – nie mogłaby, nie wyznając mu przedtem wszystkiego, a o tym nie ma mowy.

– Cieszę się, że tam poszliśmy – to było wszystko, na co się zdobyła.

– Wyglądałaś na zadowoloną – przytulił ją mocniej. – Byłaś piękna, dobrze ci robią takie uroczystości. Powinnaś być na nich codziennie.

– Po co? – spytała. – Żeby ładnie wyglądać?

– Żeby wyglądać na szczęśliwą, odprężoną, łagodną, ciepłą... – głos miał coraz niższy i bardziej pieszczotliwy.

Przystanąli. Chase patrzył na nią, dopóki go nie odepchnęła i nie uciekła ścieżką. Była tak bliska wyznania mu co czuje, i to ją przeraziło. Przeraziło tak bardzo, że nie przestała biec, dopóki nie wpadła do namiotu i nie naciągnęła śpiwora na głowę.

Słyszała, jak Kibo w oddali robił rumor garnkami oraz patelniami i kaszał. Potem usłyszała głosy Chase'a i Kibo.

Chodzili między swymi namiotami. Kyla usiadła, próbując dosłyszeć, co się stało. Wejście jej namiotu rozchyliło się i Chase wsunął głowę do środka.

– Kibo rozlał u mnie naftę.

– Och, nie!

– Och, tak. Napełniał lampę. Teraz już powycierał, ale zapach jest okropny.

– Nie możesz tam spać.

– Będę spał na dworze. Nie jest aż tak zimno.

– Jest miejsce tutaj.

– Miałem nadzieję, że to powiesz.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił i po minucie wrócił ze śpiworem. Rozłożył go przy Kyli i wsunął się w jego ciepłe wnętrze. Przewrócił się na bok, oparł głowę na dłoni i patrzył na nią. Z jej twarzy zniknął już wyraz łagodności i odprężenia. Nie wiedział, czy chciała, żeby był tutaj.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy wrócić do rozmowy na drodze. Odbiegłaś tak nagle.

– Złapał mnie skurcz – odpowiedziała szybko.

– Gdzie? W boku?

- Nie, w nodze.
- Nieźle pędziłaś jak na kogoś ze skurczem w nodze.
- Już przeszło – zapewniła go.
- W porządku. To była miła uroczystość, prawda?
- Bardzo miła, ale teraz będę spała.

Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, wysuwających się ze śpiwora. Odsunęła się od niego. Westchnął ciężko.

- Nie mogę spać – poskarżył się.
- Dlaczego nie zamkniesz oczu... i ust?
- Kręci mi się w głowie. Taki wpływ mają na mnie święta. – W nagrodę usłyszał śmiech, który próbowała stłumić. – Co robiłaś w nocy ze swoją grupą?

- Kładliśmy się spać.
- Ale przedtem, gdy byliście zbyt podnieceni, żeby spać?
- Czasem opowiadaliśmy historie, siedząc przy ognisku – przymknęła oczy. Patrzył na jej profil, na długie rzęsy, prostą linię nosa, wargi, szyję i z trudem powstrzymywał chęć dotknięcia jej, wzięcia w ramiona, przytulenia.

- Ale dzisiaj jesteś zbyt zmęczona, by opowiadać historie, prawda?

Przytaknęła i odwróciła się od niego. I nagle zasnęła, gdy tymczasem on leżał, patrząc na nią i zastanawiając się, dlaczego uciekła od niego na drodze, dlaczego uciekała przy każdym zbliżeniu.

Rano obudził Chase'a szcęk garnków w namiocie tragarza. Niechętnie usiadł i przetarł oczy. Spać tak blisko Kyli to była męka. Westchnęła przez sen, ale nie poruszyła się. Wczorajszy dzień był bardzo męczący, więc miał nadzieję, że będzie spała dłużej. Słońce tworzyło aureolę wokół sklepienia namiotu. Chciał zostać tu na zawsze, odciąć się od świata, stworzyć enklawę spokoju i bezpieczeństwa. Ale nie mógł uwięzić Kyli w namiocie, jak nie mógł pochwycić kolibra, kipiącego energią i radością lotu.

Na zewnątrz Kibo robił śniadanie i pakował ekwipunek. Gdzieś dalej żyły dzieci, które oślepną, jeśli nie dotrze do nich, zanim zima nie zamknie przełęczy.

Przeczesał rękami włosy, potem wy dostał się z namiotu. Rozległa łąka była mokra od rosy, świecącej w porannym słońcu. W powietrzu wyczuł chłód, który przywiódł mu na myśl jesień i dom. Pewnego dnia może nawet wróci do rodzinnych stron, do jesieni, opadających liści i chłodnego, ostrego klimatu. Ale nie chciał jechać nigdzie bez Kyli, chciał być wszędzie tam, gdzie ona. Jak to będzie wyglądało po zakończeniu tej wyprawy, kiedy Kyla będzie spływała tratwą po Jangcy, a on usuwał katarakty na sali operacyjnej, tego nie wiedział.

Gdy Kyla nareszcie się obudziła, potrzebowała tylko kilku sekund, by

zorientować się, że zasnęła, i jeszcze mniej, by zwinąć śpiwór i zasznurować buty. Chłodne suche powietrze wskazywało, że zbliżają się do celu. Poczula ukłucie bólu. Po rozdzieleniu witamin nie będzie już żadnego powodu, aby być razem.

Potrafiła przyznać się w głębi duszy, że zakochała się w Chasie, ale wiedziała też, że musi utrzymać to w tajemnicy wraz z tym innym sekretem, który chroniła przed światem. Muszą skończyć tę wyprawę tak, jak ją zaczęli, jako przyjaciele i nic więcej. Nie będzie to łatwe, ale nie ma innej możliwości.

Gdy wyszła na dwór, śniadanie czekało już gotowe. Jadła omlet w milczeniu, starając się nie myśleć o tym, że całą noc przespała obok Chase'a. Wiedziała, że mogła spać tak dobrze i długo dlatego, że w jego pobliżu czuła się spokojnie i bezpiecznie.

– Jak spałaś? – zapytał, jak gdyby znowu czytał w jej myślach.

– Świetnie – odparła żywo. Wypiła ostatni łyk herbaty i zaczęła kubek na zewnętrznym pasku plecaka. – Ale dzisiejszej nocy będziesz miał już własny namiot i więcej miejsca, by się, no, wyciągnąć.

– Już rozmawiałem o tym z Kibo – powiedział obserwując, jak Szerpa myje patelnię nad brzegiem strumienia. – Zgodził się, że byłoby szybciej, gdyby na noc mógł rozkładać tylko jeden namiot – wzruszył obojętnie ramionami. – Ja w końcu miałem dużo miejsca, a ty?

Przytaknęła. Dużo miejsca, ale mało siły oporu. Ile nocy będzie w stanie spędzić obok niego, by nie stało się to przyzwyczajeniem, niebezpiecznym przyzwyczajeniem, które tak trudno przyjdzie jej przełamać. Z drugiej strony, jak mogłaby zasnąć wiedząc, że on leży oddalony zaledwie o parę metrów, tęskniąc za jego ciepłym oddechem na swoim policzku, za dotykiem jego rąk na włosach? Czekał na jej odpowiedź.

– Dziś moglibyśmy się zatrzymać na noc w klasztorze – zaproponowała. – W ogóle więc nie używalibyśmy namiotów.

– W klasztorze?

– Nie wiem, czy zajdziemy dzisiaj aż tak daleko, ale mnisi z Senge Yeshe mają pomieszczenia dla pielgrzymów.

– Nas to przecież nie dotyczy.

– Tak, ale jeśli nie będzie pielgrzymów, pozwolą nam skorzystać z miejsca i nakarmią potrawką z jaka i jogurtem.

Próbował się uśmiechnąć, ale było mu ciężko na sercu. Nie będzie namiotu, nie będzie bezpiecznej wyspy dla nich dwojga. Kyla dostrzegła jego przygnębienie.

– Tam jest wygodnie, wierz mi. Potrawkę duszą całymi dniami, pieką własny chleb i robią sfermentowany napój ryżowy. Jeśli dojdziemy do klasztoru o zmroku, docenisz zalety łóżka i ciepłego posiłku.

– Na pewno – uspokoił ją i zacisnął mocniej sznurowadła przed długą

wspinaczką.

Annapurnę zobaczyli dopiero, gdy wdrapali się na stromą, skalną krawędź, opadającą na dno doliny, i minęli starców, robiących swetry na drutach od parasolek. Nagle Kyla zatrzymała się i zaczęła, aż Chase ją dogoni. Wskazała na góry, wznoszące się przed nimi.

Nic nie przygotowało go do widoku ostrej stromizny szczytów, białych piramid, które zdawały się wynurzać z chmur. Opuścił wzrok na twarz Kyli uniesioną ku niebu. Jej oczy błyszczały od łez. Uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie bierz mi tego za złe. Zawsze płaczę na widok Annapurny albo Everestu albo Himalchuli.

Chase skinął głową ze zrozumieniem. Kyla utkwiała oczy w dalekich szczytach, toteż czuł, że to nie była właściwa chwila na stawianie pytań o wspólną przeszłość. Będzie na to jeszcze czas, całe dwadzieścia jeden dni.

Prawie o zmroku dostrzegli najwyższego lamę klasztoru, siedzącego na krawędzi skały tyłem do zachodzącego słońca i śpiewającego modlitwy. Kyla uśmiechnęła się triumfująco.

– Będzie nam tu dobrze – pokazała mu stojących w oddali mnichów w pomarańczowych szatach, dmących w długie rogi. Gdy Kyla i Chase przechodzili obok, mnisi, patrząc wprost przed siebie, uderzali w bębny obciążone skórą jaków.

W biało otynkowanym klasztorze nowicjusz wskazał im kwatery. Chase stwierdził z rozczarowaniem, że było dużo wolnych izb. Młody mnich wyjaśnił, że od wiosny nie było pielgrzymów, ale dwa dni temu przenocowano innych turystów, słynnego pułkownika Prajapati i jego grupę, zmierzających do sanktuarium na Annapurnie.

– Nie powiedział mi, że pragnie dotrzeć aż tutaj – rzekła Kyla, kładąc plecak na surowo ociosanych deskach podłogi. – Na szczęście nie przyszliśmy w tym samym czasie. Musielibyśmy znów dzielić pokój.

Mnich złożył głęboki ukłon i odszedł. Chase położył swój plecak przy rzeczach Kyli.

– Cóż w tym byłoby złego? – spytał z uśmiechem. – O ile sobie przypominam, spałaś jak kamień.

– W ogóle nie spałam.

– Ale przecież nawet się nie poruszyłaś.

– To dlatego, że nie chciałam cię obudzić.

– Nie spałam przez całą noc. Rozmyślałem o tej wyprawie.

– Czy jest tak, jak sobie wyobrażałeś?

– Myślałem, że będziemy iść naprzód i po męczącej wędrówce dotrzemy do doliny Manang i rozdamy witaminy. Nie myślałem o tym, co mogłoby się tymczasem zdarzyć tobie, mnie... nam. To najwspanialsza przygoda mego życia.

– Dla mnie też.

– Dla ciebie?

– Tak. Sądziłam, że widziałam już wszystko i wszystkiego próbowałam. Ale inaczej jest przy tobie, gdy się patrzy twoimi oczyma – odwróciła się i otworzyła drzwi do swojej izby. – Nie wiem, dlaczego tak jest – powiedziała na koniec.

Wszedł za nią do małej, wąskiej sypialni. Patrzył, jak siada na brzegu siennika, przykrytego szorstką, sukienną koldrą.

– Wiem, dlaczego, i ty wiesz. Oboje czujemy to samo i coraz silniej. – Jej twarz bladła w drżącym świetle gazowej lampy, przytwierdzonej do ściany. W szeroko otwartych oczach malował się niepokój. On mówił dalej: – Nie chcę cię ponaglać ani wymagać od ciebie, byś coś na to poradził, ale pragnę ci powiedzieć, że zależy mi na tobie i że nie pozwolę ci nigdzie odejść beze mnie.

– Chase, czy rzeczywiście wiesz, na czym polega moja praca?

– Tak sądzę. Spotkałem jedną z twoich grup i nasłuchiwałem się opowiadań o tym, jak piekłaś całego kozła na rożnie i ratowałaś przerażonych turystów na wiszącym moście. A teraz sam doświadczyłem tego na własnej skórze.

– Tak, ale widzisz tylko to, co zabawne i podniecające – westchnęła. – W rzeczywistości organizując wycieczki spędzam całe godziny nad kalkulatorem, mapą i przewodnikami. A potem, kiedy już cała dziesiątka znajdzie się na szlaku, pojawiają się konflikty, sprzeczki, flirty i różne okoliczności, które ujawniają w ludziach to, co najgorsze. Trudno to sobie wyobrazić, wiem. We dwoje możemy robić wszystko, na co mamy ochotę, zmieniać plany w ostatniej chwili, pozostać na nogach przez całą noc albo spać do późna. Grupa nie jest tak elastyczna.

– A więc chcesz powiedzieć, że lepiej ci ze mną niż zazwyczaj z całą grupą?

– Oczywiście – roześmiała się, widząc niedowierzanie na jego twarzy. – Myślałam, że wiesz o tym. Jest wspaniale. To święto, dziecko, które przyjęliśmy... nigdy w życiu nie było mi tak dobrze – twarz jej zajaśniała, gdyż nagle zrozumiała, że to prawda. Wspólna wędrówka z Chase'em stanowiła doświadczenie zupełnie różne od wypraw z obcymi.

– I mnie także – odrzekł spokojnie.

Gdzieś z daleka odezwał się klasztorny dzwon, wzywający mnichów na modlitwę, a Kyla odniosła przygnębiające wrażenie, że nie udało jej się zniechęcić Chase'a, że właśnie utwierdziła go w przekonaniu, iż ta wyprawa oznaczała w ich życiu początek, a nie koniec.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kolację jedli tego wieczora przy długich, wąskich stołach razem z mnichami w pomarańczowych szatach, a potrawka z jaków, zgodnie z obietnicą Kyli, smakowała wyśmienicie. Oczywiście, że nie udało się jej zniechęcić Chase'a. Co więcej, był jeszcze bardziej przekonany niż kiedykolwiek, że ona musi stać się częścią jego życia i przyszłości. Lecz surowy, ascetyczny klasztor nie był odpowiednim tłem do rozmów na ten temat. Chciał znów znaleźć się z nią na dworze, pod gwiazdami, leżeć obok niej w trawie na łące albo w namiocie, gdzie nie było miejsca, żeby się ukryć lub uciec, chyba że w jego ramionach.

Po kolacji poszli do swoich oddzielnych sypialni, a Chase wiercił się i rzucał z innych jednak powodów niż kiedyś w hotelu „Widok na Himalaje”. Wtedy nie mógł zasnąć, czując ją blisko siebie, teraz nie był w stanie spać bez niej. Gdy zastanawiał się, pod jakim pretekstem mógłby pójść do jej izby, usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział, mając nadzieję, że to Kyla. To była ona. Stała na bosaka drząc, choć zawinęła się w długi negliż, który przylegał do linii jej ciała jak druga skóra.

– Chyba zobaczyłam nietoperza.

– Gdzie? W twojej sypialni?

– Nie, nie. Na zewnątrz – rozejrzała się dokoła. – Czy chcesz, abym zamknęła twoje okno?

– Nie jest mi zimno – podciągnął śpiwór pod brodę. Miał ochotę rozpiąć go, otworzyć ramiona i wciągnąć ją do środka, ale nie zrobił tego. Tym razem to ona będzie musiała uczynić pierwszy ruch. – A może to był ptak? –

zapytał.

– Ptaki nie latają nocą – podeszła lekkim krokiem do okna.

Wyrzała i zobaczyła ciemny kształt, spadający z nocnego nieba wprost na nią. Rzuciła się do Chase'a, kryjąc twarz na jego piersi. Nietoperz krążył rozpaczliwie po izbie, gwałtownie szukając wyjścia.

Chase wysunął się ze śpiwora i wepchnął w niego Kyle. Kiedy nietoperz zwołał lot, opadając w dół, pochwycił go w kącik i trzymając ostrożnie w rękach, wypuścił przez okno. Potem zamknął je i usiadł w nogach pościeli.

– Możesz już wyrzeć. Odleciał.

– Dziękuję – rzekła, wysuwając głowę.

– Czy boisz się nietoperzy? Czy może szukałaś pretekstu, żeby przyjść do mnie?

– To najbardziej obraźliwe słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam – podciągnęła kolana i wysunęła się ze śpiwora.

Przysunął się szybko i objął ją zatrzymując.

– Chwileczkę. Może mógłbym ci pomóc, jak ty mi pomogłaś na moście.

– To nie jest to samo. Nie przstraszył mnie nietoperz w dzieciństwie. Po prostu boję się, że one wkręcą mi się we włosy. Nie ma w tym nic dziwnego.

Pokiwał głową nad taką ignorancją. Potem podniósł jej nogi i wpakował znowu w śpiwór.

– Zaczekaj chwilę – zaprotestowała.. – Nie zostanę tutaj.

– Zostaniesz, dopóki nie wysłuchasz porządnej prelekcji o nietoperzach.

Odetchnęła i odprężyła się. Nietoperz odleciał. Leżała w śpiworze Chase'a, w którym pozostało jeszcze ciepło jego ciała. Rozmawiali na bezpieczny temat, nie o niej, nie o nim, a tylko o nietoperzach. Uśmiechnęła się do Chase'a, on zaś pochylił się i musnął wargami jej usta.

– No, dalej – ponagliła.

– Z czym? – spytał, całując wgłębienie jej szyi.

– Prelekcja – szepnęła bez tchu.

– A, racja.

Pocałował ją znowu i pragnienie, które tak starał się utrzymać w ryzach, wybuchnęło płomieniem. Wysunęła ręce, ujęła jego twarz i patrzyła w ciemne oczy. Całował wewnątrz jej dłoni, a ona tuliła jego głowę i pragnęła odczuć twardość mięśni pod miękką fanelową koszulą.

Wtedy w przedsionku rozległy się kroki, ciche szuranie płóciennych mnisich sandałów. Kyla zamarła, czując niepowstrzymaną chęć śmiechu, który mógł ich zdradzić. Chase potrząsnął głową i zakrył jej usta dłonią.

Kiedy kroki ucichły, uśmiechnął się do niej.

– O czym to mówiliśmy? – szepnęła.

– Postanowiłam wrócić do pokoju. Co będzie, jeśli sprawdzą?

– Nie słyszałaś jeszcze o nietoperzach – zagroził jej odwrót swoim ciałem.

– Nawet jeśli są prawie ślepe, nie mogą się wplątać w moje włosy – przerwał

i pogłaskał jej brązowe loki. – One latają, kierując się echosondą.

– Naprawdę? – szepnęła, myśląc tylko o dotyku jego palców na swoich włosach.

– To są ssaki, wiesz o tym. Latające ssaki spokrewnione z myszami.

– Myszy? – zadrżała. – Nie myślisz chyba, że tu są myszy?

– Czy to znaczy, że myszy też się boisz? No to chodź. Zniosę cię do twojej sypialni.

Podniósł ją owiniętą w śpiwór i otworzył drzwi jedną ręką. Przytuliła głowę do jego ramienia. W sypialni Chase posadził ją na łóżku i zabrał leżący obok śpiwór Kyli.

– Zostań w moim śpiworze tak, jak jesteś. Ja skorzystam z twojego.

Odszedł, zanim zdążyła zaprotestować, podziękować czy przeprosić. Leżała, myśląc o jego ustach, o ciężarze jego ciała. To chyba otulający ją śpiwór przypominał o nim, o zapachu dymu i sosen, o chłodnym, czystym powietrzu Himalajów.

Nie powinna pójść nocą do izby Chase'a, niezależnie od nietoperzy. I nie powinna rozmawiać z nim o przyszłości. Coś jednak działo się z jej umiejętnością panowania nad sobą, gdy on był w pobliżu. Jedno spojrzenie czy dotknięcie i jej rezerwa załamywała się. Powinna odtąd być ostrożniejsza. Miała przed sobą cel: zaprowadzić Chase'a w dolinę Manang. Potem będzie mogła zająć się swoimi sprawami, a on swoimi. Wniosła zamęt w jego życie, mniejsza, czy on uświadamia to sobie, czy nie. Powiedział, że nie puści jej nigdzie samej, ale wiedziała, jak duże wysokości oddziałują na umysł ludzki. Chase mógł stanowić łagodny przypadek choroby wysokości. Pojawiły się u niego takie symptomy, jak chaotyczność i nielogiczność rozumowania oraz lekkomyślność. Być może i ją to dotknęło, co wyjaśniałoby, dlaczego odwiedziła Chase'a tej nocy. Odwróciła się, ukryła głowę w śpiworze, wdychając zapach mydła i flanelowej koszuli. Zaciśnęła powieki i zmusiła się do myślenia o wspinaczce wysokogórskiej.

Przy śniadaniu mnisi powiedzieli im, że pada śnieg w wyższych partiach gór. Kyli i Chase wymienili spojrzenia, obiecując sobie, że będą się śpieszyć.

Przez cztery dni mozolnie szli naprzód, wciąż pod górę. Kupili jaka, by pomógł dźwigać dodatkowe zapasy. Zwierzę wyprzedzało ich w czasie wspinaczki, dodając im otuchy swą żywotnością i pewnością ruchów. Obozowali w miejscach, z których roztaczały się cudowne widoki, ale byli tak zmęczeni, że ich prawie nie dostrzegali i co noc zasypiali ciężko, bez snów.

Każdego ranka ból rozsadał Chase'owi czaszkę, ale zawroty głowy, wywołane wysokością, zwykle przechodziły po pierwszym kubku herbaty. Potem mógł z przyjemnością wdychać czyste, chłodne powietrze. Dziś przyjemność sprawił mu także widok zaróżowionych policzków i

błyszczących oczu Kyli. Naciągnęła kurtkę i zapięła ją ciasno pod szyją.

– Kibo chce, żebyśmy dzisiaj zatrzymali się na noc w jego wsi, ojczyźnie tygrysów.

– Jeżeli boisz się nietoperzy, to jak potrafisz stawić czoło tym tygrysom?

– Szerpowie nazywani są śnieżnymi tygrysami, ponieważ są tacy silni i z pokolenia na pokolenie przenoszą ciężary przez przełęcz. A ja się nie boję nietoperzy. Nie, naprawdę.

– A zatem przyszedłeś tamtej nocy zobaczyć się ze mną.

Kyla odwróciła się i poklepała pękate juki, zwisające po obu stronach szerokiego grzbietu jaka, lecz Chase zdążył dojrzeć jej rumieniec wywołany wspomnieniem tej nocy. Nie odpowiedziała i znowu ruszyli ścieżką, stromą serpentyną ułożoną z dopasowanych kamieni wygładzonych krokami niezliczonych wędrowców.

Ciemne chmury zakryły wyższe szczyty, a Kibo przepowiadał silne wiatry, a może nawet śnieżyce. Około południa dobrnęli do wioski Szerpy, składającej się z mniej więcej trzydziestu chat, rozrzuconych w kształcie podkowy na zboczu bardzo spadzistego wzgórza. Siostra, matka i żona Kibo spotkały ich u drzwi schroniska z gorącą herbatą i zarzuciły tragarza pytaniami w miejscowym dialekcie. Potem odeszły, zabierając go z sobą. Pozostawiły ogień na palenisku i wiszący nad nim żelazny kociołek.

Wiatr dobijał się do wąskich okien. Chase z wyciągniętymi rękami zbliżył się do ogniska. Idąc za wzrokiem Kyli, spojrzął na stryszek podwieszony mocnymi sznurami u krokwi.

– To tam chciałabyś spać, prawda?

– Czy zawsze wiesz, o czym myślę?

Zdjęła kurtkę i stanęła plecami do ognia. Chase siedział na krześle z niewygodnym oparciem i rozcierał ręce, wpatrzony w płomienie.

– Chciałbym wiedzieć. Mógłbym się wtedy przekonać, czy rzeczywiście uważasz, że ta wyprawa jest dla ciebie czymś szczególnym, czymś niezwykle cudownym.

– Ta wycieczka jest inna od wszystkich, wierz mi – w jej głosie brzmiało zmęczenie. – Ale się skończy. A ty wrócisz do swego szpitala – wypowiedziała te słowa tak twardo, jakby wydawała rozkaz.

Chase patrzył na nią długą chwilę. Nie mógł wymyślić żadnej odpowiedzi. W końcu Kibo zapukał do drzwi i wniósł kociołek gorącej wody. Chase gestem zaproponował Kyli, by się umyła pierwsza, wziął kurtkę i wyszedł na dwór.

Chodził długo po wiosce, usiłując nie pamiętać o dziewczynie, która myła się w niewielkim schronisku. Dzieci, zbierające gałęzie na opał, wołały na niego i machały rękami. Myślał o wydawaniu na świat dzieci, swoich własnych dzieci, i zastanawiał się, czy Kyla zmieni kiedykolwiek zdanie. Słyszał, jak powiedziała, że w jej życiu nie ma dla niego miejsca, i wiedział,

że mówiła to poważnie. Usiadł z tyłu za domami na kamieniu i oparł głowę na rękach. Wiatr pędzący z gór wywiał resztki ciepła z jego ciała i poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem.

Gdy wrócił, mała chata była pusta. Potem pojawił się Kibo z nowym kociołkiem gorącej wody i poprosił, żeby przyszedł do domu jego matki, gdzie może skończyć mycie. Tam znajdzie panią.

Kiedy Chase przyszedł do kamiennej chaty matki tragarza, zastał Kyleę usadowioną już na honorowym miejscu, pomiędzy siostrą a żoną Kibo. Widok jego świeżo wygolonej twarzy i uśmiechu, jakim powitał gospodarzy, sprawił, że się wzruszyła. W małym domku było ciepło i policzki Kyli zapłonęły, gdy Chase przychwycił jej wzrok. Cieszył ją hałas, obecność ludzi, świąteczny nastrój, wszystko, co pozwalało na zachowanie dystansu między nimi.

Omam nie udało mu się jej przekonać, że powinna zaryzykować i powiedzieć mu prawdę. Potrafiła jakoś znaleźć w sobie siłę, by mu się oprzeć, by mu wmówić, że praca była dla niej najważniejszą rzeczą na świecie. Wiedziała, że ma rację, ale gdy na nią patrzył, gdy trzymał ją w ramionach, pragnęła zdobyć gwiazdkę z nieba. Zdobywanie mogło dać radość, lecz odwrót z pustymi rękami przerażał ją. Przerazał tak bardzo, że drżała na samą myśl o poszukiwaniu szczęścia. Od dawna zdecydowała się żyć normalnie, dopóki będzie mogła, i sama ponieść konsekwencje. Teraz jednak istniał ktoś, z kim chciałaby wszystko dzielić.

Wcisnęto Kyli w rękę miseczkę zupy ziemniaczanej i żytne ciastko smażone na oliwie. Wskazano jej miejsce, na którym powinna usiąść przy stole obok Chase'a.

– Co za uroczystość mamy dzisiaj? – spytał, przysuwając się tak blisko, że poczuła zapach jego mydła i dostrzegła iskierek w jego ciemnych oczach.

– Powrót Kibo do domu – odrzekła, ostrożnie zanurzając łyżkę w zupie.

– Gdzie są wszyscy mężczyźni? – dopytywał się, obserwując zebranych.

– Na wyprawach. To jest dobre dla Szerpów, bo przynosi wiosce pieniądze, ale jest też złe, bo rozdziela rodziny.

– A więc to przez nas Kibo musi żyć bez żony i bliskich.

– Tak, ale dzięki nam będzie mógł kupić im w tym roku parę kozłów, a pewnego dnia nabyć generator albo wywiercić studnię.

– Widziałem kilkoro dzieci, ścinających gałęzie na opał.

– Bardzo się tym martwię.

– Dlaczego? To nie twoja wina, ty używasz piecyka na propan.

– Ale nie wszyscy turyści tak robią. Stoki wzgórz, po których szliśmy dzisiaj, były kiedyś porośnięte drzewami. Tak mi powiedziała babka Kibo. Góry wyglądają, jakby miały trwać wiecznie, w rzeczywistości jednak są bardziej kruche, niż myślimy – spojrzała przez okno w ciemność, jak gdyby chciała dostrzec cień Annapurny.

– A czyż Szerpowie mieli się lepiej, zanim turyści dotarli tutaj? – spytał. – Co by się stało, gdyby jedna przewodniczka porzuciła wyprawy, przestała przyprowadzać tu wycieczki i zmieniła swoje życie? Pomyśl, co by to oznaczało dla środowiska.

– Nie sądzę, by mogło stanowić jakąś różnicę. Poza tym – przypomniała – lubię takie życie i nie porzucę go.

Potem już nie rozmawiali. Po posiłku zaczęły się pieśni oraz tańce i każdy przepychał się w kierunku zaimprovizowanej sceny na środku izby. Kobiety ustawiły się w szeregu, splotły ramiona i posuwały się naprzód lub cofały w takt pieśni. Rytmiczne melodie i gorąca herbata ukołysały Kyle, wprowadzając ją w senny błogostan. Powieki jej ciążyły, oczy się zamykały. Poczula na karku rękę Chase'a.

– Czas do łóżka – szepnął.

Ujmując ją za łokieć wyprowadził z zatłoczonej izby. Chłodne powietrze otrzeźwiło ją akurat w momencie, gdy chciała już wziąć Chase'a pod rękę. Zamiast tego poszła przez puste pole do schroniska, trzymając przezornie ręce w kieszeniach. Na miejscu wzięła plecak i wdrapała się po drabinie na stryszek. Chase pozostał na środku izby i spoglądał na nią z zadartą głową.

– Przepraszam – wybąkał. – Nie chciałem sugerować, żebyś rzuciła swoją pracę.

– Ja także przepraszam – powiedziała zdławionym głosem, rozkładając śpiwór i patrząc na niego z góry.

– Doceniam twoją troskę o środowisko i o mnie. Ale wiesz, co czuję, dlatego trudno jest... – ukryła twarz w śpiworze.

– Wiem o tym – postawił stopę na najniższym szczeblu drabiny. – Więc już nie będę o tym mówił. Lecz jeśli zmienisz zdanie, obiecaj, że mi powiesz. Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Tam, na sienniku w rogu?

Kiwnął potakująco głową, potem ukląkł na podłodze, szukając tabletek na dnie plecaka. Nalał kubek wody z baryłki stojącej na stole i połknął lekarstwo w nadziei, że ból głowy rano przejdzie.

– Co robisz? – spytała Kyla, przechylając się przez krawędź stryszku. Jej włosy opadały w dół w splątanych lokach.

– Biorę tabletkę.

– Dlaczego?

Zaklął z cicha. Powinien zaczekać, póki ona nie zaśnie.

– Po prostu ból głowy.

– Niewiele jadłeś na kolację – zauważyła.

– Nie byłem głodny.

Pochyliła się niżej, aż się przestraszył, że spadnie na ułożone w dole drzewo na opał.

– Ból głowy, brak apetytu, co jeszcze? – dopytywała się.

– Mdłości i zawroty głowy – przyznał, leżąc na wznak na grubo ociosanej podłodze z zamkniętymi oczyma, a izba wirowała dokoła niego. Usłyszał, że Kyla schodzi.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz chorobę wysokości? – położyła mu chłodną rękę na czole.

– Nie chciałem opóźnić wyprawy – wymamrotał. – Rano będę w porządku.

– Jutro rano nigdzie nie pójdziemy.

Podtrzymywany przez nią dowlókl się do posłania. Ułożyła mu głowę na poduszce i przyniosła szklankę wody.

– Powinieneś zmuszać się do picia. Twój organizm utracił przerażająco dużo wody w tym suchym powietrzu, a jeżeli nie będziesz jadł, nie starczy ci sił, by dojsć dokądkolwiek.

– Nie mogę teraz jeść – zaprotestował. – Przepraszam.

– To moja wina – delikatnie gładziła palcami jego twarz. – Zwykle umiem rozpoznać te objawy, nawet kiedy mam dziesięciu turystów w grupie. Jak mogłam się pomylić, gdy chodziło o ciebie?

– Chciałem, żebyś się omyliła. Jesteś przewodniczką, a ja lekarzem, sam się tym zajmę – przewrócił się na bok, a wciąż nowe zawroty głowy ogarniały go falami.

– Widziałam więcej przypadków choroby wysokości niż ty – obstawała przy swoim. – Wiem, co trzeba robić. Nie masz się czego wstydić. To może się przytrafić każdemu, nawet maratończykowi i zawodowemu lekkoatlecie. Wszystko zależy od tego, jak szybko aklimatyzuje się twój organizm.

– Mój aklimatyzuje się bardzo dobrze – odparł, zmuszając się do otwarcia oczu. – Bywałem w Górach Skalistych, w Sierra Nevada i Sierra Madre, a nigdy przedtem nie chorowałem.

– Zapominasz, że Himalaje zaczynają się tam, gdzie się kończą inne góry. Znaleźliśmy się bardzo wysoko, a dostaliśmy się tu bardzo szybko. Jutro odpoczywamy. A potem zobaczymy, w jakiej będziesz formie.

Poczuł, że rozsznurowuje mu buty i ściąga ciężkie skarpety.

– Nie jestem bezwładny – zaprotestował.

– Czy potrafisz sam ściągnąć spodnie?

Rozważył tę kwestię w skołowanej mózgownicy i potrząsnął przecząco głową.

– Nie bądź skrępowany – prosiła. – Jesteśmy jak lekarz i pacjent.

Jej palce zręcznie rozpięły mu spodnie i ściągnęły je, pozostawiając go w długiej, ciepłej bieliźnie. Poczuł, że nakrywa go bawełnianym prześcieradłem, a na wierzchu kładzie śpiwór jak kołdrę.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać.

Skinął głową i zasnął.

Gdy się obudził, zobaczył, że stryszek jest pusty. Poczuł, jak ogarnia go panika. Kyli nie było tam, gdzie być powinna. Przez okno wpadało jasnoszare

światło, więc odgadł, że to ranek. A ona odeszła. Uniósł ciężką głowę i usiadł.

Wtedy ukazała się w drzwiach i wszystko wróciło na swoje miejsce. Czerwona wełniana czapeczka pasowała do jej zaróżowionych policzków, a w rękę niosła koszyk, przykryty samodzielnym płótnem.

– Jak się czujesz? – usiadła na brzegu łóżka i odgarnęła mu włosy z czoła.

– Lepiej teraz, kiedy już jesteś tutaj. Gdzie byłaś, ty mały wędrowny Czerwony Kapturku?

– Przyniosłam jedzenie. Potrzebne ci są węglowodany.

– Potrzebuję czegoś więcej – usiadł, obejmując ją ramionami. – Potrzebuję sympatii i towarzystwa.

– Uwważaj, bo pokruszysz gryczane ciastka – ostrzegła go, podnosząc koszyk nad głowę.

Potem posmarowała placuszek miodem i opiekuńczo podała mu prosto do ust.

– Która godzina? Powinniśmy już wyruszyć.

– Odpoczywamy dzisiaj, pamiętasz?

Wstała, by zaparzyć herbatę. Nalewała gorącą wodę z żelaznego kociołka nad paleniskiem.

– Nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek.

– Nie możemy sobie pozwolić na brak odpoczynku. Słusznie mówi się, że mężczyźni to nieznośni pacjenci, a już najgorsi są lekarze.

– Nie pamiętam, jak zdejmowałem spodnie – powiedział, marszcząc brwi.

– Nie zdjąłeś ich, ja to zrobiłam – podała mu kubek herbaty.

– W takim razie musisz mi znowu włożyć spodnie, gdyż dzisiaj wyruszamy.

– Chase, oddam ci je, kiedy będziesz zdolny do marszu. Być może czujesz się lepiej, ale wyglądasz okropnie.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nawet z potarganymi włosami i z ciemnym zarostem na policzkach nie mógł nigdy wyglądać „okropnie”. Stała nad nim, przyglądając się jego twarzy. Miał przymknięte oczy i ziemistą cerę. Przystawiła mu kubek do ust, więc wypił trochę. Potem ułożyła go znów na łóżku.

– Co będziemy robić przez cały dzień? Nie można po prostu ciągle leżeć.

– Ja pójdę załatwić trochę żebraniny i trochę pisaniny, a ty będziesz tu sobie leżał. Nie zabrałeś żadnych medycznych pism do czytania?

– Są nudne, nie nadają się dla mnie. To dobre dla lekarzy szpitalnych, dysponujących aparatami do dializy i komputerowymi tomografami, a ja robię rzeczy najzupełniej podstawowe, jak wiesz – ziewnął i przymknął powieki.

Miał odpoczywać, ale to go irytowało, doprowadzało wprost do szału. Zawsze już będzie współczuł pacjentowi, któremu nakaze leżenie w łóżku. Walczył z sennością. Jeśli usnie, Kyła znów wyjdzie i nigdy nie wróci.

- Chodź tutaj – wymówił głosem ochrypłym ze zmęczenia.
- Usłyszał kroki i poczuł dotyk jej ręki.
- Co się dzieje?
- Nie odchodź.
- Nie odejdę. Będę tutaj.
- Westchnął, czując lekki pocałunek na policzku, a potem zasnął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Może po wielu godzinach, a może po całych dniach Chase wrócił wreszcie do przytomności. Niebo za wąskimi oknami było ciemnoszare, a Kyla z podwinętymi nogami siedziała w kącie na ławie, pisząc coś w kołonoatniku. Słyszał szmer jej pióra, sunącego po papierze i trzask ognia: jedyne dźwięki, które rozlegały się w niewielkiej chacie.

Z ciężką głową i wysuszonym gardłem leżał i przyglądał się jej. Może mogliby, zapominając o czasie, pozostać tu na zawsze, rozdać lekarstwa, jakie miał przy sobie i żyć prostym życiem, sadząc ziemniaki. Uśmiechnął się do tej myśli. Kyla podniosła głowę znad notesu i odpowiedziała uśmiechem. Pragnął zatrzymać tę chwilę na wieczność, zastygła w czasie. Światło lampy na jej włosach, łagodna linia jej policzków, powolny ruch, jakim odłożyła zeszyt i nalala herbaty. Słodki gorący napój zwilżył mu gardło.

– Zdaje się, że spałem.

– Zdaje się, że tak. Około ośmiu godzin.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, a ona podała mu miseczkę z jasnobrazową papką. Zmarszczył czoło, ale zjadł. Kyla uśmiechała się zachęcająco.

– Co pisałeś? – zapytał.

– Dziennik. Mam do zrobienia wiele notatek. – Wzięła notes i przysunęła krzesło do solidnego drewnianego stołu.

– Co tam opisujesz? – odstawił miszkę i oparł się o ścianę.

– Drogę, jaką wybraliśmy, pogodę, trudności. Nie powinnam tego zaniedbywać. Teraz nie mogę sobie przypomnieć, gdzie byliśmy dwie noce temu.

– W klasztorze – rzekł pocierając czoło.

– Nie, nie w klasztorze. Klasztor zapamiętałam.

– Ja też. Pamiętam, jak przyszedł do mojej sypialni w długiej koszuli. Czy piszesz o tym?

Patrzyła w zeszyt, więc nie mógł dostrzec, czy się uśmiechała. Założył ręce za głowę.

– Dwie noce temu... Czy to była pierwsza noc, którą przespaliliśmy razem w namiocie?

– Nie – odparła z oczyma wciąż utkwionymi w notes. – To było dawno temu.

– Dawno, dawno temu – zgodził się. – Wydaje się, że znaleźliśmy się zawsze. Nic dziwnego, że tak trudno było ci się zżegnać ze swoją grupą.

Zapanowało długie milczenie. Woda w kociołku zagotowała się, więc Kyla podniosła pokrywkę.

– Tak bywa na wyprawie wysokogórskiej. Wspólne doświadczenia zbliżają ludzi. Szlak wydaje się drogą życia z wszystkimi jego szczytami i dolinami.

– Ty i ja – rzekł Chase, pochylając się naprzód – jesteśmy właśnie na tej drodze. Naszym celem jest dolina Manang, ale sama wędrówka jest równie ważna. W życiu należy dbać nie tylko o cel, ale o samo dążenie do niego.

– Nie daj się zwieść – odpowiedziała Kyla, zanurzając swój kubek w kociołku. – Tutaj na szlaku wiem, jak się poruszać, i mogę cię prowadzić. Na drodze życia jednak nie ma przewodników. Nikt przed tobą nie odbył twojej ani mojej drogi, więc nikt nie wskaże nam, którądy iść. Każde z nas musi znaleźć własną, oddzielną ścieżkę.

– Tak, ale te nasze oddzielne ścieżki łączą się, nie czujesz tego?

– Być może na jakiś czas. Mamy jednak różne cele. Wędrówka jest cudowną rzeczą. Przechodzimy przez tyle miejsc, spotykamy tylu obcych, a gdy wyprawa się kończy, zostawiamy ich za sobą. Lecz na zawsze stają się częścią naszych wspomnień.

– Czy wspomnienia ci wystarczają, Kyla?

– Tak, ale mam szczęście. Wciąż rozpoczynam nową wyprawę z innymi ludźmi, innym celem i nową drogą. W ten sposób mogę pomieścić wiele żywotów w czasie jednego życia. Niewielu to potrafi – śmiało spotkała wzrok Chase'a, prowokując go do zaprzeczenia.

– I to właśnie będziesz robiła? – ból zmarszczył mu czoło.

– Oczywiście. To mój zawód, moje życie.

– Czy sądzisz, że nic się nie zmieniło? Czy ta wyprawa nic dla ciebie nie znaczy? Przecież tyle rzeczy nas łączy. Nie rozumiem cię.

Gwałtownie mieszała herbatę, dzwoniąc łyżeczką.

– Wszystko dlatego, że mnie nie słuchasz.

– Słuchałem, gdy mówiłaś, że to była niezwykła wyprawa. Być może opowiesz takie rzeczy każdemu... – nie mógł stłumić goryczy, przebijającej

się w jego głosie.

– Nigdy jeszcze tak nie było – powiedziała cicho, odwracając się od niego i klękając przed kamiennym paleniskiem. – To moja wina. Powinnam wiedzieć z góry, bo to zaczęło się od pierwszego dnia, gdy cię zobaczyłam – wyciągała pogrzebaczem ziemniaki, które piekły się na węglach.

– To był dzień, w którym próbowałaś dać mi łapówkę, bym przyjął Lilian do szpitala... Czy nie wstydzisz się?

– Nie lubiłam cię, nie mogłam cię znieść. Uważałam cię za lekarza najbardziej aroganckiego, zachwyconego sobą, egoistycznego... – przerwała i rozglądała się za talerzami, by rozłożyć jedzenie.

Podniósł nogi, ale opadły ciężko, jak gdyby już nigdy nie miały mu służyć.

– A co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? I czy je zmieniłaś?

– Nie wiem – postawiła mu na kolanach talerz z ziemniakami i widelec. – Może to było tego wieczora w „Yak and Yeti”, gdy widziałam, jak jadłeś samotnie. Nie lubię, kiedy ludzie jedzą sami.

Siedziała z podkurczonymi nogami na brzegu posłania, z talerzem na kolanach. Zjadła trochę parujących ziemniaków.

– Czy to wtedy posłałaś tego faceta z twojej grupy, żeby mnie przyprowadził?

– Nigdy nie posyłałam nikogo po ciebie. To był wyłącznie jego pomysł. Ty sam z pewnością miałaś ochotę przyjść. Czy często chodzisz w takie miejsca, gdzie zawsze można spotkać Amerykanów?

– Oczywiście – uśmiechnął się do niej. – Chodzę tam co wieczór w nadziei, że jacyś wrzaskliwi amerykańscy turyści zaproszą mnie na kolację, żebyśmy mogli pogadać o domu. Wierz mi lub nie, ale są ludzie, którzy lubią jadać samotnie.

– No to dlaczego przyłączyłeś się wtedy do nas?

– Byłem przekonany, że to ty go przysłałaś.

– Naprawdę? – poczuła dreszcz biegnący po plecach.

– Nie chciałem urazić twoich uczuć.

Przyglądała się jego twarzy, bladej pod opalenizną, oraz bruzdom wrytym wokół oczu i wzruszenie ścisnęło jej serce. Spojrzała na swój i na jego talerz. – Jedz. Potrzebujesz węglowodanów.

– Nic się nie zmieniłaś – wziął kęs do ust i żuł powoli. – Wciąż usiłujesz mi mówić, co mam robić.

– Więc dlaczego...

– Dlaczego wziąłem cię na przewodniczkę? – potrząsnął głową. – Nie wiem. Myślałem, że jesteś apodyktyczna i nie wiedziałem, jak się ciebie pozbyć. Miałem nadzieję, że skoro zażądam od ciebie pomocy na sali operacyjnej, uciekniesz. Lecz stało się inaczej. Przywykłem do tego, że podajesz mi narzędzia. Zacząłem lubić poranne spotkania z tobą, a tęsknić po południu, kiedy cię nie było.

Kyla na próżno próbowała się uśmiechnąć. Zaciśnęła wargi, a jej oczy napełniły się łzami.

– Wierz mi, zadawanie się z upartą kobietą nie leżało w moich planach. – Chase dłużył widelcem w ziemniakach. – Ale wówczas sama zaproponowałaś, że zabierzesz mnie na tę wyprawę i nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu.

– I jesteśmy tutaj – powiedziała miękko Kyla.

– Jesteśmy tutaj – powtórzył jak echo. Potem zamknął oczy, a Kyla stała obok łóżka, patrząc na niego. Otworzył wtedy oczy i zerknął na nią. – Nie odchodź ode mnie.

– Nie odejdę.

Nie opuści go, dopóki nie spełnią tego, co zamierzali. Ale potem odejdzie, a on o tym wie.

Kyla odłożyła dziennik i wzięła koszulę Chase'a, by zaszyć dziurę, którą zrobił wczoraj, wspinając się na skały. Co za szczęście, mówiła sobie, że życie Chase'a było wypełnione, zanim pojawiła się w jego szpitalu. Zawsze czeka na niego praca. A jeśli to nie wystarczy, istnieją kobiety, mogące go pokochać. Znajdzie się przynajmniej jedna, która chętnie podąży za nim do egzotycznych miejscowości, by podawać mu narzędzia i pomagać przy porodach.

Zakłuła się w palec i kropla krwi spadła na ciemną flanelową koszulę Chase z inną kobietą. Nie miała ochoty o tym myśleć. Ścisnęła palec, by zatamować krew. Dlaczegoż inna nie miałaby go dostać, skoro ona sama nie chciała. Był najbardziej pozbawionym egoizmu człowiekiem, jakiego знаła, i zasługiwał na to, co najlepsze: na kogoś, kto będzie o niego dbał tak, jak on dbał o nią, na kogoś, kto ma przed sobą całe życie, kto może mieć dzieci i wychowywać je. Im prędzej Kyla zniknie z jego życia, tym szybciej on sobie z tym poradzi. Wdrapała się na swój stryszek i wychyliła się, by popatrzeć, jak Chase śpi. Nie miała żadnych jego zdjęć, ale nie chciała ich. Dostatecznie trudno będzie jej zapomnieć, mając tylko wspomnienia. Nasunęła śpiwór na oczy i czekała na świt.

Chase chciał wyruszyć rankiem. Głowę miał tak lekką, jakby unosiła się gdzieś nad jego ciałem, migrena jednak ustąpiła. Czuł zmęczenie, ale nie powiedział o tym Kyli. Jakimś sposobem domyśliła się tego i nie pozwoliła na dalszy marsz. O zmroku Kibo postawił na stole małą złotą figurkę Buddy i zapalił dwie świece. Kyla nakarmiła Chase'a pieczonymi ziemniakami, a gdy protestował, usiadła na brzegu łóżka z widelcem w ręku. – Jutro ruszamy – oświadczył stanowczo.

– Tylko wtedy, jeżeli skończysz ten ziemniak.

Wywał jej widelec z dłoni i przytrzymał ręce.

– Żadnych ziemniaków, chyba że z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem.

– Przypuszczam, że czujesz się lepiej – uśmiechnęła się i wyswobodziła ręce.

– Przez cały dzień czułem się dobrze, tylko ty tego nie zauważyłaś.

– Zauważyłam, że znów przespałeś cały dzień.

– To dlatego, że znudziło mi się przyglądanie, jak czytasz, piszesz i szyjesz. Nie było nic innego do roboty – zmarszczył brwi.

– Oto właśnie chodziło – powiedziała mu.

– O co? O to, żeby zanudzić mnie na śmierć? Trzymasz mnie tu wbrew mojej woli, wiesz o tym? Mogę wnieść oskarżenie przeciwko tobie.

– Powinieneś wymyślić coś lepszego – zachichotała Kyla. – Nie widzę tu nigdzie policji, a ty?

– No to poczekam, aż wrócimy do Stanów, by zmienić jurysdykcję.

– Nie wiedziałam, że wracasz.

– Warto, by zobaczyć, jak cię wloką do sądu. To, co robisz, jest nielegalne i nieetyczne. A jeśli pójdzie tak dalej, będę zmuszony zorganizować bunt.

– Czy myślisz, że Kibo zwróci się przeciwko mnie? Jest zadowolony, że przebywa w swojej wiosce. A ty w głębi serca dobrze wiesz, że postępuję słusznie. Powiedz mi – ciągnęła – co byś zrobił, gdybym to ja zapadła na chorobę wysokości. Czy pozwoliłbyś mi iść dalej? Wiesz, że nie ma innej kuracji poza odpoczynkiem. Jeśli to nie pomoże, trzeba wracać. Mam rację?

Wiedział, co by zrobił, gdyby to ona była chora. Wziąłby ją w ramiona i zatrzymał w łóżku przez cały tydzień. Potem kazałby jej przejść po linii prostej, by sprawdzić jej zmysł równowagi. Na szczęście ona nie wie o tym.

– Masz rację – powiedział i pocałował ją w policzek.

Patrzył na stojącą na stole i błyszczącą w blasku świec figurkę tajemniczo uśmiechniętego Buddy.

– On musi wiedzieć coś, czego my nie wiemy – zauważył.

– On wie wszystko.

Chase zastanawiał się, czy to prawda. Czy wiedział, co się stanie z nimi, gdy wrócą? Jeśli wiedział, nie mówił, tylko się uśmiechał.

– A zatem wie, że jutro wyruszamy – zakończył sprawę.

Kyla nie odpowiedziała, ale wieczorem dostrzegł, że pakuje ubrania do plecaka i wiedział, że wygrał swoją małą bitwę. Próbował nie myśleć, kto wygra następną, tę jedyną, która się rzeczywiście liczyła.

Następnego dnia wyruszyli powoli, robiąc częste przerwy na herbatę i suszone owoce. Kyla obserwowała Chase'a z niepokojem, a on uśmiechał się uspokajająco i szedł z wawo, gdy na niego patrzyła. W pewnym momencie wydawało się, że stanęli przed nieprzekraczalną barierą wysokich szczytów i prostopadłych ścian lodu, ale Kibo wskazał im cztery możliwe sposoby przekroczenia przeszkody.

Zabrało im to trzy dni, lecz gdy przeszli to pasmo górskie, znaleźli się

ponad doliną Manang. Nawet o tak późnej porze roku rolnicy zbierali specjalny czerwony ryż, rosnący na dużych wysokościach. Po drodze mijali kobiety w ciężkich haftowanych sukniach, dźwigające kosze pełne ziół. Miedziane kolczyki z turkusami zwisały im niemal do ramion. Nosiły obcisłe spodnie związane w kostkach.

Kyla zatrzymała się, by z nimi porozmawiać, a kobiety wskazały jej długą, wąską dolinę, w której unosiły się dymy z wioski. Tam znajdą miejscowego szamana, leczącego tradycyjnymi sposobami. On mógłby im pomóc przy rozdzielaniu witaminy A.

Chase zdjął plecak i pochylił się, patrząc w dół. Widać było cały lodowiec od białego stożka do szarych jeziorów dosięgających doliny. Serce Chase'a waliło, tym razem nie z powodu wysokości, ale z podniecenia na widok doliny Manang.

– Spytaj je, jak długo trwa droga w dół – powiedział do Kyli i niecierpliwie czekał na tłumaczenie dziewczyny.

– Trzy godziny, może więcej.

– Chodźmy.

– Jest za późno – potrząsnęła głową Kyla. – Przybędziemy po zmroku, nie mając miejsca na nocleg. Nie możemy po prostu rozbić namiotów pośrodku osady. Rozumiem twoją niecierpliwość, ale skoro czekałeś tak długo, czy nie możesz wytrzymać do jutra? – Położyła mu rękę na ramieniu. – Kobiety mówią, że ścieżka jest stroma i śliska, a ja przypuszczam, że trzy godziny będą szły one, a nie my.

– Czy sądzisz, że my nie potrafimy chodzić równie szybko? – mierzył wzrokiem kobiety od koszyków na ich głowach po słomiane sandały.

– One mieszkały tutaj przez całe życie – tłumaczyła Kyla. – Znają każdą szczelinę, każdy korzeń na ścieżce. Poza tym mówią, że po drodze jest schronisko dla pielgrzymów, zbudowane nad ciepłym źródłem.

Chase usłyszał w głosie Kyli nutę rozmarzenia. Był czas na spoczynek. Wyobraził sobie skały, parę wodną, otaczające ich ciepłe źródła. Przystał się sprzeczać.

Zeszli z pagórka i odnaleźli schronisko. Było stare i opuszczone, ale gorąca woda wciąż wydobywała się ze źródła i przez miedziane rury dochodziła do sztucznego zbiornika w skale. Chase czekał w dużej izbie, a Kyla pierwsza poszła się wykapać. Kibo rozniecił ogień na palenisku i w powietrzu rozszedł się wspaniały zapach gotującego się ryżu. Myśl o tym, że wreszcie dotarł do doliny, nie pozwoliła Chase'owi zachować spokoju. Krążył wokół ognia, potem wyszedł na dwór i spojrzął w kierunku sadzawki. Kyla zawinięta w ręcznik wracała po stopniach do domu. Skóra jej jaśniała, oczy błyszczały, a włosy miała upięte na czubku głowy jak Wenus.

– Jak było?

– Cudownie – rzekła promieniejąc.

Reszta wieczoru minęła Chase'owi bardzo powoli, choć zanurzenie w gorącej wodzie ukoiloł niecierpliwość, jaką odczuwał przez całe popołudnie. Potem, siedząc przed trzaskającym ogniem w poufałym milczeniu, zjedli garnek ryżu przyprawionego ziołami i suszone jabłka. Nie odczuwali potrzeby mówienia. Powiedzieli już sobie wszystko.

Zanim położyli się spać, patrzył, jak Kyla rozpuszcza włosy i przestaje być Wenus. Staje się ziemską boginią, od której nie był w stanie oderwać oczu.

Rano wiał porywisty wiatr, gdy wspinali się na grań, by potem zejść do osady. Na głównej ulicy dzieci przystawały i gapiły się na nich, a potem uciekały, by znów ukazać się na dachach lub za oknami, skąd przyglądały im się dalej. Nim dotarli do sklepów i domów, szedł za nimi cały tłum dzieciarni, która miała teraz dość odwagi, by prosić o słodycze.

Chase i Kyla usiedli w gospodzie i zamówili kawę oraz ciepłe placuszki.

– Czy zauważyłeś, jakie one są chude? – spytał Chase.

– Ale nie mogą być niedożywione – odparła Kyla. – Mają za wiele energii.

– Niedobór witaminy A nie daje o sobie znać całymi latami, a gdy się ujawnia, jest już za późno. One były dość śmiałe, by prosić o cukierki. Gdzie się tego nauczyły?

– Musieli tu być inni turyści – Kyla odwróciła się i zobaczyła przy stole w rogu łysą głowę, wychylającą się zza angielskiej gazety. Twarz się wreszcie ukazała i Kyla westchnęła – pułkownik Prajapati.

Podniósł jedną brew, nie tyle ze zdziwienia, ile raczej łagodnego rozbawienia.

– Znów się spotykamy – powiedział, przenosząc swoją kawę na ich stolik. – Szczęśliwie się składa, bo przynoszę pani wiadomość od agencji w Katmandu.

– Wiadomość? Dla mnie? – spytała.

– Dali mi list wiedząc, że będę przechodził tą drogą. Dobrze, że pani przyszła dzisiaj, bo jutro wyruszamy. – Sięgnął do wełnianej kurtki i wyjął zapieczętowaną kopertę.

Kyla wpatrywała się w list. Być może to od Lilian. Otworzyła kopertę paznokciem. Wiadomość była krótka. Na następną wycieczkę do Chin zapisało się więcej osób, niż oczekiwano. Kiedy Kyla wróci? Kiedy będzie wolna? Słowa skakały jej przed oczyma. Chiny. Kiedy? Spojrzała na Chase'a. Ze ściągniętymi brwiami patrzył na pułkownika, który gadał, jak gdyby nic się nie stało.

– Muszę was ostrzec, byście ominęli sanktuarium, jeśli wybieraliście się tam. Była nagła powódź i nie można przejść koryta rzeki. W zamian przyprowadziłem moją grupę tutaj, by nacieszyli się gorącymi źródłami i poszukali nieuchwytnego yeti.

– Yeti? – Chase i Kyla wymienili rozbawione spojrzenia.

– Nie śmiejcje się – ostrzegł pułkownik Prajapati. – Niedaleko stąd

widziano ślady.

– A może to były moje? – zasugerował Chase, patrząc na swoje buty.

– Pan wie, że yeti był widziany i sfotografowany – wzruszył ramionami pułkownik.

– Ale nie tutaj, w wiosce – Kyla postawiła filiżankę. – Ach, nie. Wielka szkoda, bo to jedyne miejsce w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, w którym można dostać przyzwoitą kawę. Cały dzień wędrujemy wąwozem z przygotowanymi kamerami. Zawsze jednak wracamy na kolację. Nie ma jak domowy posiłek po całodziennym tropieniu yeti. Polecam pieczonego na rożnie kozła u Dharu przy tej ulicy.

– Teraz akurat szukamy szamana.

– Mogę wam pokazać, gdzie mieszka – skinął głową pułkownik. – Ale wiedźcie, że ten szaman to po prostu czarownik. Jego kuracja polega na prześlągnięciu złych duchów. Mam nadzieję, że pan nie ma problemów ze złymi duchami, doktorze?

– Zupełnie nie – zapewnił go Chase, wściekły, że pułkownik siedzi przy ich stole i psuje im śniadanie swoimi rozwlekłymi komentarzami.

Gdy pułkownik dopił kawę, zaprosił Kylę i Chase'a, by poszli za nim. Doprowadził ich do drewnianych drzwi, na których wyrte było imię szamana w sanskrycie.

– No to do wieczora – zawołał z uśmiechem odchodząc.

– O, nie, o ile potrafię temu zapobiec – mruknął Chase pod nosem.

Znaleźli szamana na pięterku w małej izdebce za zatłoczoną poczekalnią. Jego szczupła, ascetyczna twarz obramowana była długimi włosami. Nosił czystą, białą szatę. Podał Chase'owi rękę i patrzył mu w oczy, być może próbując sprawdzić, czy jest on godzien uwagi. Potem spytał, czy ma jakieś nowe lekarstwo na wrzód żołądka, na który sam cierpiał.

Kiedy szaman wyszedł po zioła, którymi chciał się podzielić, Chase opróżnił swój plecak, by znaleźć coś odpowiedniego na jego chorobę. Kyla rozglądała się po niewielkim wnętrzu.

– Jaka może być przyczyna, że ten człowiek choruje na wrzód żołądka właśnie tutaj? Skąd tu stresy i napięcia?

Chase wyjął buteleczkę pigułek i wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Być może mieszkańcy oczekują od lekarza cudów. Wielkie oczekiwanie, a mało cudów. Wszystko się na to składa.

– A kiedy powiesz mi o witaminach dla dzieci?

– Najpierw wymienimy informacje – uśmiechnął się Chase. – Uprzejmość zawodowa. Pokaże mi, jak leczy miejscowe choroby, nie odwołując się do medycyny zachodniej. Możliwe, że będziemy tu mieli minikonferencję. Dłaczego nie poszukasz sobie jakiegoś miejsca, żeby zaczekać? Gdziekolwiek, byle nie tam, gdzie pułkownik. Spotkamy się w restauracji.

Zatrzymała się w drzwiach, rozstając się z nim dziwnie niechętnie. Byli ze

sobą nieprzerwanie we dnie i w nocy, a teraz chciał, żeby odeszła, zerwała istniejącą między nimi więź. Poczula smutek, irracjonalne, śmieszne uczucie u kogoś, kto całe swoje dorosłe życie spędził w samotności, w tłumie, ale jednak samotnie.

Pożegnała się wzruszywszy ramionami i wyszła na ulicę, gdzie zobaczyła Kibo w ożywionej rozmowie z jednym z przewodników pułkownika. Podbiegł do niej i powiedział, że tamta grupa zajęła już jedyny hotel. Na szczęście Kibo miał tu krewniaczkę, gotową przenocować ich w gościnnej izbie.

Kyla poszła za Szerpą przez płataninę wąskich uliczek. Zatrzymali się przed drzwiami, wiszącymi na rzemiennych zawiasach, które skrzypnęły, gdy je pchnęli. Kobieta o okrągłej twarzy powitała ich szerokim uśmiechem. Miała gładkie włosy rozdzielone pośrodku i wełnianą, samodziałową suknię, opadającą do stóp. Zapach kadzidła, przenikał przedsiónek, prowadzący do gościnnej sypialni. Kyla z przerażeniem spojrzała na podwójne łóżko, stojące na środku dużego słonecznego pomieszczenia.

Jak wyjaśni Chase'owi wybór takiej kwatery? Będzie przypuszczał, że ona nie może mu się dłużej opierać. Jak będzie w stanie spać obok niego i nie ulec namiętności, którą odczuwała, ilekroć na nią patrzył lub wymówił jej imię? Wymamrotała parę nepalskich słów, zapewniając Kibo, że podoba się jej dom krewniaczki oraz wolna izba i pobiegła na spotkanie z Chase'em. Spacerował już przed gospodą. Serce skoczyło jej w piersiach, jak gdyby nie widziała go od tygodni.

– Ten człowiek jest zdumiewający – oświadczył. – Możemy nauczyć się od niego wielu rzeczy. Ale teraz zaczniemy zaraz rozdawać witaminy. Czy możesz uwierzyć, że już jesteśmy tutaj? Ja wciąż w to nie wierzę – uśmiechnęła się do niej, chwytając za rękę.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Wiedziała, że za nic nie wyrzekłaby się tej chwili.

Po południu szaman i naczelnik wioski ustawili przy wejściu do urzędu wszystkie dzieci w dwunastu szeregach. Były tam dziewczynki w sięgających ramion złotych kolczykach, noszące na plecach niemowlęta, i chłopcy o szerokich, rumianych policzkach, ubrani w krótkie spodenki. Mała dziewczynka w objęciach matki nie przestawała płakać, dopóki Chase nie wyciągnął jej pigułki zza ucha. Wtedy roześmiała się i połknęła ją. Pod koniec dnia tłum dzieciaków dostał już witaminy, ale sterczał ciągle w miejscu dla zabawy.

Chase i Kyla stanowili największą atrakcję w wiosce, przynajmniej dopóki pułkownik nie znajdzie yeti. Nawet gdy pakowali lekarstwa, dzieci wałęsały się dokoła, opierając się o ściany, i czekały, żeby odprowadzić ich do domu.

Woń kadzidła powitała ich, kiedy otworzyli drzwi domu krewniaczki Kibo i przeszli na palcach przez przedsiónek, by nie przeszkodzić jedzącej kolację

rodzinie. Gazowa lampa na ścianie oświetlała łóżko, przykrycia były odsunięte i ukazywały lniane prześcieradła, czyste, choć pożółkłe ze starości. Po tylu nocach spędzonych w śpiworze, Kyla poczuła nieprzewartą chęć zdjąć ciężkiego ubrania i wsunięcia się w pościel.

Była przygotowana na reakcję Chase'a, ale jego rozbrajający uśmiech uspił jej czujność. Czy on odczuwał tę samą chęć?

– Hotel był pełny – odezwała się, by przerwać milczenie. – Byłam zadowolona, że to znalazłam.

– Przypomina mi się „Widok na Himalaje” – powiedział Chase.

– Tutaj nie ma żadnych widoków.

– Myślałem raczej o tym, jak spaliśmy.

– Nic nie mogłam na to poradzić – wyjaśniła pośpiesznie. – Gdybym mogła znaleźć inny pokój...

– To nie byłoby to samo – rzekł, głaszcząc jej loki.

– Co robisz jutro? – spytała i odsunęła się, by umyć ręce w misce, stojącej przy łóżku.

– Są tu małe wioski, rozproszone w dolinie. Szaman idzie z nami, żeby pomóc – odpowiedział. – Ty też pójdziesz, prawda?

Oparł się o łóżko, raptem zbyt zmęczony, by stać, i zbyt przerażony, by mówić. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ona powiedziała „co robisz”, a nie „co robimy”.

– Czy będę ci potrzebna? – jej głos brzmiał obojętnie, ale on nie dał się zwieść.

– Tak, potrzebuję cię – zmusił ją, by usiadła obok niego na łóżku. – Nie do wręczania pigułek. Mogę to zrobić sam. Potrzebna mi jesteś, bym mógł zrozumieć, właśnie teraz, co cię pcha do tych wszystkich wypraw – przyrzekł sobie, że nie będzie jej wypytywał, ale pragnienie poznania prawdy stało się naraz nieodparte.

– Wiem tylko, że w tej chwili chcę być sama. Muszę przemyśleć pewne rzeczy. Wszystko było ustalone, zanim cię spotkałam, zanim ruszyliśmy na tę wyprawę. Teraz nie wiem, co myśleć.

– Nie wiesz, co myśleć o mnie? – zapytał.

– Nie – potrząsnęła głową. – O sobie. O tym, czego chcę i co mogę osiągnąć. Kiedyś pogodziłam się ze swoimi ograniczeniami, ale ty sprawiłeś, że pragnę rzeczy, których mieć nie mogę.

– Możesz je mieć – upierał się.

– Nie, nie mogę. Powiedziałam ci, że moja matka umarła, gdy miałam dwadzieścia lat. Nie powiedziałam, że umarła na płasawicę.

Chase uczył ściśnięcie serca. To wyjaśniało wszystko. Odziedziczyła chorobę po matce i jej dni były policzone. Nie dbał o to, chciał dzielić z nią te dni, każdy bezcenny dzień.

– Kiedy się o tym dowiedziałas? Kiedy robiłaś badania?

– Nie robiłam. Dopiero mam zamiar je zrobić – odwróciła się i patrzyła na niego z wyzwaniem w szarych oczach.

Zapraǳnął jednocześnie zaśmiać się i zapłakać. Mogła nie być chora. Ona nie mogła być chora. To nie byłoby w porządku.

– Dlaczego nie zrobiłaś badań? – spytał łagodnie.

– Nie chciałam wiedzieć. Myślałam, że to jest oczywiste. Usłyszałam o badaniach, kiedy odkryto gen tej choroby. Jechałam do ojca przez most Golden Gate i musiałam zatrzymać się przed zjazdem, gdyż płakałam tak bardzo, że nic nie widziałam przez łzy. Ale potem już nigdy nie płakałam. Rozumiesz mnie? – pochyliła się naprzód i wpatrywała się w niego intensywnie. – Mam szczęśliwe życie. Z pewnością to zauważyłeś. Czy byłabym szczęśliwsza, gdybym się dowiedziała, że nie mam płasawicy? – zamilkła, a potem dała odpowiedź na własne pytanie. – Może trochę, ale nie aż tak bardzo. A co będzie, jeśli się dowiem, że podobnie jak matka jestem nosicielką tego genu? – Oczy miała szeroko otwarte i Chase dosłyszał ból w jej słowach, dostrzegł go na jej twarzy i odczuł w głębi własnego serca. – O ile bardziej nieszczęśliwa byłabym wówczas? – wstała i stanęła w nogach łóżka. – O wiele – mówiła spokojnie, ale drżała, więc wyciągnął do niej ręce i posadził ją na kolanach. Otoczyła mu szyję ramionami i przytuliła się do niego, ale nie płakała.

– Rozumiem to – powiedział uspokajająco. – Masz wspaniałe, ekscytujące życie. Ale ja, ja... – przerwał. Czy miłość dawała mu prawo wkraczania w jej świat? Namawiania na decyzję, która mogła jej przynieść cierpienie na resztę dni? – Kocham cię – szepnął, a ona przytuliła się mocniej. – I chcę spędzić całe moje życie z tobą. Jeśli nie chcesz zrobić badań, zgadzam się.

– Powiedziałam ci już przecież, że nie chcę spędzić mojego życia z kimkolwiek. Ty lepiej niż inni powinieneś rozumieć; że płasawica jest chorobą trudniejszą do zniesienia dla rodziny niż dla pacjenta. Dlatego żyję sama. Dlatego dalej będę żyła sama i nie założę rodziny.

– W porządku. Nie będę twoją rodziną, ale będę częścią ciebie, a ty będziesz częścią mnie.

– Nie! – To był krzyk trwogi. – Nie mam kochanków. Nie podałam ci przedtem prawdziwej przyczyny, ale teraz już wiesz. Wiesz o mnie wszystko, ale wciąż nic nie rozumiesz.

– Mógłbym zrozumieć, gdybym sądził, że mnie nie kochasz, ale myślę, że kochasz.

– Tak. Nie planowałam tego. Nie wiem, jak i kiedy to się stało. Ale nie powinno się stać. W głębi serca wiesz o tym – błagała go, by zrozumiał, ale on kręcił przecząco głową.

– Nie wiem i ty tego nie wiesz. I nie poznamy odpowiedzi, dopóki nie zrobisz badań.

Jęknęła, jak gdyby dotknął ją gorącym żelazem. Przytrzymał ją w

ramionach.

– Jestem egoistą – przyznał. – Chcę, żebyś zrobiła badania, ponieważ to jedyna rzecz, która daje mi szansę. Jeśli jesteś wolna od tego genu, pobierzemy się i będziemy potem żyli szczęśliwie. A jeśli nie, mamy przynajmniej trochę czasu dla siebie. A gdy się rozchorujesz i będziesz kogoś potrzebowała, będę przy tobie. Będziesz miała mnie, zamiast kogoś obcego, kto by się tobą opiekował. Chcę spędzić z tobą każdy dzień i każdą noc od tej chwili aż do końca naszego życia, cokolwiek się zdarzy.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy i przez chwilę myślała, że przełamała linię jej obrony, ale gdy umilkł, powoli pokręciła głową.

– A co z dziećmi? – spytała. – Wiem, jak bardzo je kochasz. Widzę to w twoich oczach i słyszę, kiedy mówisz o dzieciach z doliny Manang. Czy wiesz, co to znaczy dorastać wiedząc, że matka jest nieuleczalnie chora? Gdybyś wiedział, rozumiałbyś, że nie może być o tym mowy. Nie mogę brać tego pod uwagę i nigdy nie brałam.

– Ale gdybyś zrobiła badania...

– Nie.

– No to nie rób. Nie potrzebuję dzieci. Będę miał dzieci z doliny Manang i ze wszystkich miejsc na świecie, w których będą mnie potrzebować. Nie muszę mieć własnych dzieci, ale muszę mieć ciebie. – Bolała go krtań, piekły oczy, ale nie udało mu się jej przekonać. Sprawił nawet, że jeszcze bardziej zdecydowanie trwała, przy swoim. Opuścił ramiona. – Widzę, że powzięłaś już decyzję, według ciebie słuszną. A więc prowadź wycieczki, wędruj, dokąd chcesz. Pójdę z tobą, jeśli będę mógł. Jeśli nie, będę pracował i czekał na ciebie. Nieważne. Wracając do mnie będziesz mi tworzyć dom – zachrypił tak, że nie mógł mówić, ale przyciągnął jej uwagę.

– Nie mogę ci tego zrobić, być tylko połową żony, bez dzieci, bez wspólnego życia. Zaslugujesz na więcej, a ja nie mogę ci tego dać. Wyobraź sobie, że jestem w Chinach, a ty od czasu do czasu otrzymujesz ode mnie pocztówkę ze słowami „Cudownie się bawię”. Ale czy mogłabym cudownie się bawić wiedząc, że znów tkwisz na sali operacyjnej, a poczekalnia jest pełna pacjentów i nie masz nikogo do pomocy – jej ramionami wstrząsnęło łkanie, a on przytulił ją do piersi.

Gdy przestała płakać, obmyła twarz i zmieniła sweter.

– Jestem głodna. Chodźmy do hotelu na kolację. Muszę pomówić z pułkownikiem.

– O czym? – spytał z napięciem.

– Dowiem się, czy mogę się do nich przyłączyć w drodze powrotnej. Ty potrzebujesz więcej czasu. Wymienicie z szamanem tajemnice zawodowe. Kibo odprowadzi cię z powrotem, kiedy załatwisz wszystko – mówiła tak rzeczowo, jak gdyby chodziło o spacer do sklepu na rogu, a nie o przeprawę przez najwyższe pasmo górskie.

Oszołomiony, z trudem usiłował odzyskać panowanie nad sobą.

– Dokąd jedziesz? – zapytał.

– List mówi, że wciąż jeszcze potrzebują mnie w Chinach – odparła.

Chase czuł, że ma duszę porwaną na strzępy. Był człowiekiem czynu, podejmującym szybko decyzję w sprawach życia i śmierci, ale nie potrafił wpłynąć na to, co stało się z jego własnym życiem.

Po kolacji czekał w małym przedsiionku na Kyle, która poszła na górę porozmawiać z pułkownikiem. Gdy zeszła po wąskich schodach, znał już odpowiedź.

– O której wyruszasz?

– Wcześniej. Skoro tylko otworzą kawiarnię. Spotkamy się tam. Proszę, nie odprowadzaj mnie.

W jej głosie było coś, co sprawiło, że odczuł ból w piersi. W żadnym piśmie medycznym nie czytał o złamanym sercu, ale teraz wiedział, co to jest i wiedział też, że nie ma na to lekarstwa.

Gdy po raz ostatni szli ciasnymi uliczkami, Chase odezwał się.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że po twoich wyprawach ludzie pamiętają tylko dobre rzeczy.

– Ty także?

– Oczywiście. Trudno inaczej, skoro wszystko było dobre. Jeśli kiedykolwiek potrzebne byłyby ci referencje...

– Dziękuję – rzekła z wymuszonym uśmiechem. – Zapamiętam to.

Były to ostatnie słowa, jakie powiedziała do niego tej nocy. Gdy dowlekli się do małej kamiennej chaty, nogi Chase'a były ciężkie, jak gdyby dopiero co wspiął się na Annapurnę.

Nie udawał, że śpi. Kyla odwróciła się do niego plecami tak, jak odwróciła się od jego próśb. Nie mógł uwierzyć, że to już ich ostatnia noc, ale nie chciał spędzić jej w ten sposób. Przyciągnął ją do siebie. Westchnęła cicho i przytuliła się do niego. Nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko już zostało powiedziane. Czuł, że jej serce bije blisko jego serca i tak trwali do świtu.

Ubrała się szybko i stanęła w drzwiach, wahając się tylko przez chwilę.

– Przyślij mi pocztówkę z Chin.

– „Cudownie się bawię, szkoda, że cię tu nie ma” – powtórzyła.

Potem odwróciła się i odeszła. Odeszła z jego życia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podróż powrotna do Katmandu minęła Kyli jak we śnie. Machinalnie stawiała krok za krokiem, udawała zainteresowanie poszukiwaniami yeti. Jadła ryby z rzeki Kali Gandaki, mijała lasy dębowe i gaje rododendronów. Robiła zdjęcia małych dzieci i starców w strojach ludowych. Wymieniała plotki z pułkownikiem Prajapati i wieczorem przy kolacji opowiadała anegdotki.

Nikt nie wiedział, że prawdziwej Kyli tam w ogóle nie było. Kobieta, która to wszystko robiła, była automatem, pustą, pozbawioną wnętrza skorupą. Jej serce i dusza pozostały z Chase'em w dolinie Manang. Gdy jej stopy podążyły w kierunku Katmandu, myśli biegły do małej wioski, którą opuściła.

Nie próbowała szukać dla siebie usprawiedliwienia. Nie było żadnego. Nie usiłowała wytłumaczyć swego zachowania w ciągu ostatnich kilku tygodni – nie umiała. Potrafiła jedynie robić to, co powinna, do czego była w stanie się zmusić: myśleć o przyszłości, o następnej wyprawie, o następnej grupie. Nie wracać pamięcią wstecz.

Kiedy przybyli do ruchliwego, zatłoczonego miasta, Kyla udała się do oddziału „Podróży z przygodami”. Uszczęśliwieni jej widokiem, wręczyli marszrutę, która wymagała wyjazdu w ciągu dwóch dni. Nie musiała jechać do Stanów ani spotykać się z grupą wcześniej. Oni przylecą do Pekinu. Kyla wpatrywała się w rozkład lotów. Potem nagle podniosła głowę.

– Nie mogę jechać.

– Nie możesz jechać? – dyrektor patrzył na nią sponad drucianych okularów. – To jest wyprawa twego życia. – Jego spojrzenie przesuwało się od jej pogniecionej koszuli do butów wciąż pokrytych błotem i włosów jak

zwykle potarganych. Jej szare, szeroko rozwarte, jasne oczy miały wyraz nieobecny. – Co się stało? Wyglądasz dziwnie.

– Dziwnie się czuję. Muszę pojechać do Kalifornii, zanim cokolwiek zrobię, załatwić pewne sprawy rodzinne. Potem wrócę – zmarszczyła brwi. – Przykro mi, że cię zawiodłam.

– Daj mi znać, co się dzieje – wzruszył ramionami. – Bądź z nami w kontakcie.

Kyla zgodziła się z roztargnieniem.

W samolocie do San Francisco Kyla powtarzała sobie, że robi to dla siebie, a nie dla Chase'a. Wiedziała tylko, że powinna przeprowadzić badania. Nie mogła dłużej żyć z tym zagrożeniem. Jeśli badania wykazą obecność genu płasawicy, wówczas nadal będzie poznawać świat, jak robiła to dotąd, wiedząc, że tylko to jej pozostało, dopóki będzie mogła jakoś funkcjonować.

Jeśliby się jednak okazało, że go nie ma, miałyby wówczas inne możliwości. Odpięła pas, potem przycisnęła głowę do szyby i puściła wodze fantazji. Wyobrażała sobie, jak wchodzi do szpitala Chase'a, by przynieść mu dobrą nowinę. Przypominała sobie, jak wyglądał pierwszego dnia, gdy go zobaczyła, jak znad maski chirurga patrzyły na nią ciemne oczy. Wspominała, jak stał w deszczu, w dniu, gdy pan Wangchen dał im dywan i gdy oglądała erotyczne rzeźby.

Kiedy wylądowała. w San Francisco, miasto wydało jej się bardzo nowoczesne. Wynajęła pokój w małym hotelu i spacerowała po ulicach, przypatrując się wysokim, czystym budynkom mieszkalnym. Zapisała się na badania i wypełniła formularze w trzech egzemplarzach. W rubryce, kogo zawiadomić w razie wypadku, wymieniła ciotkę, ojca i Chase'a. Podała się badaniom i teraz czekała na wyniki.

Była sama w zimnym mieście nad zatoką i tego właśnie chciała. Nie zadzwoniła do nikogo, nikogo nie zawiadomiła, gdzie jest. Prawie codziennie wkładała turystyczne buty i maszerowała z jednego krańca miasta na drugi. Wieczorami była zbyt zmęczona, by myśleć, i to było dobre. W końcu pozostał tylko tydzień, a potem już tylko weekend do momentu, w którym otrzyma wyniki.

Po powrocie do kliniki życie Chase'a szybko wróciło do normy. Wiedział, że przed wyjazdem pracował ciężko, ale teraz zaczął pracować dwa razy tyle. Dawniej brał długie dyżury, teraz rzadko przychodził do domu. Spał w swoim szpitalnym biurze na łóżku połowym i od rana zaczynał harówkę. Kiedy wracał do niewielkiego mieszkania, wpatrywał się w dywan, wiszący na ścianie, który tylko w połowie należał do niego.

Zzerała go bolesna tęsknota, gdy próbował wyobrazić sobie Kyle, płynącą na tratwie po Jangcy, z włosami rozwianymi na wietrze, w otoczeniu ludzi,

wpatrzonych w nią i chłonących każde jej słowo. Któreś niedzieli pojechał na lotnisko i w holu obejrzał listę odlotów. O drugiej odlatywał samolot do Pekinu, a on omal nie wykupił biletu. Zdał sobie jednak sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie szukać Kyli na rzece Jangcy, a nawet gdyby wiedział, ona nie chciałaby się z nim spotkać.

Może napisze do niej o czymś błahym, wyśle list z nowinami o jakimś pacjencie, którego pamiętała. W ten sposób mógłby zdobyć jej adres nawet na Jangcy.

Następnego dnia pojechał taksówką do agencji „Podróż z przygodami”. Stał przed zawałonym papierami biurkiem i zapytał o adres Kyli Tanner.

Urzędniczka przerzuciła dokumenty i spojrzała na niego.

– Hotel „Vista del Mar”, Fisherman’s Wharf, San Francisco. Dostaliśmy od niej pocztówkę w zeszłym tygodniu. Czy mam panu zapisać adres?

– Nie, dziękuję, zapamiętam. Ale myślałem, że jest w Chinach. Czy już wróciła?

– Zdecydowała się nie jechać. Miała jakieś ważne sprawy rodzinne w San Francisco. Potem wróci.

Chase wyszedł na ulicę zdezorientowany i zdumiony. Dlaczego mu nic nie powiedziała?

Parę dni zabrało mu znalezienie lekarza na zastępstwo. A potem był już w porcie lotniczym, tym razem kupił bilet do San Francisco i wsiadł do samolotu.

Gdy wylądowali w gęstej, szarej mgłę, wynajął samochód i pojechał prosto do hotelu Kyli. W San Francisco był piątkowy wieczór, ale w Katmandu sobotni ranek, toteż Chase nie spał od dwudziestu czterech godzin. W recepcji hotelu powiedziano mu, że Kyli nie ma, więc wziął pokój obok niej. Później zaczął krążyć w holu czekając, aż ona wróci. Gdy wreszcie opadł na szeroki, miękki fotel naprzeciwko wejścia, Kyli ukazała się w drzwiach. Nosila jaskrawoczerwoną kurtkę i czarne spodnie, wpuszczone w buty. Próbował wymówić jej imię, podejść do niej i chwycić ją za ramię, ale nie mógł poruszyć się ani wydusić słowa. Recepcjonista szepnął jej coś, wówczas odwróciła się, a ich oczy się spotkały. Upuściła klucz na ziemię. Zbladła tak, iż przestraszył się, że zemdleje i podbiegł, chcąc ją podtrzymać.

– Skąd wiedziałeś?

– Byłem w agencji. Dali mi twój adres.

– O!

– Zrobiłaś badania, prawda? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chase, muszę się z tym uporać sama. W poniedziałek będę znała wynik. Powiem ci, jeżeli...

– Jeżeli będzie negatywny. A jeżeli będzie pozytywny?

– Wróć do pracy – odpowiedziała szybko, odzyskując panowanie nad sobą

– tak, jak gdyby się nic nie stało.

– A co ze mną? – Podniósł klucz i poprowadził ją do windy.

– Nie powinieneś przyjeżdżać.

– Ale jestem już tutaj. – Nacisnął guzik dziesiątego piętra. – I co ze mną zrobisz?

Pokręciła bezradnie głową i dalej jechali w milczeniu. Gdy Chase otworzył jej drzwi, przyglądała mu się badawczo.

– Potrzebuję posiłku i rozrywki. Pójdziemy do miasta za pół godziny. Czy wzięłaś ze sobą sukienkę? Ubierz się, będę w sąsiednim pokoju.

Otworzył drzwi, łączące ich pokoje, a potem zamknął je za sobą.

Kyla poszła jak automat do łazienki, odkręciła kurki, napełniła wannę. Chase przebył pół świata, żeby spędzić z nią weekend. To ją oszołomiło. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, wiedziała, że potrafi wywrócić jej świat do góry nogami.

Usłyszała pukanie do drzwi i jego głos.

– Jestem w wannie – odpowiedziała.

– No to wyjdź.

– Daj mi parę minut na ubranie się – poprosiła. Chase pojawił się z powrotem w jej życiu i poczuła nagły przyływ nadziei, lecz wraz z nadzieją pojawiła się i rozpacz. Jakim cudem raz jeszcze potrafi się z nim pożegnać?

W restauracji zamówili kolację.

– Jak było w drodze powrotnej? Czy Kibo dobrze się tobą opiekował?

– Nie przechodziliśmy przez wiszący most. Zmusiłem go do pójścia okrężną drogą. Trwało to dłużej, ale nie mogłem się na to zdobyć bez ciebie.

– Żałuję.

– Nie powinnaś. Nie musiałem robić z siebie durnia po raz drugi.

– Trzeba odwagi, żeby się przyznać do strachu – słowa zamarły jej w gardle.

Nastąpiła długa cisza.

– Tak, trzeba – powtórzył.

– Jestem śmiertelnie przerażona, Chase – patrzyła na niego oczyma błyszczącymi od łez.

– Wiem o tym – powiedział miękkim głosem i dłonią przykrył jej rękę.

Kelner przyniósł im zupę, więc Kyla wytarła oczy serwetką.

– Przyrzekłam sobie, że będziesz się dobrze bawił. Nieźle zaczęłam? – spytała z uśmiechem.

– Żadnych łez – zapowiedział. – To rozkaz.

– Obiecuję – zaszalutowała dwoma palcami jak skaut. Skończyła jeść zupę i popatrzyła na Chase'a. – Co chcesz robić w ten weekend? – spytała, gdy kelner podawał przystawki.

– Popłynemy na Angel Island, do Alcatraz, do Fort Point i...

– Mamy przed sobą tylko jeden weekend – roześmiała się.

- Moglibyśmy mieć przed sobą całe życie.
- Chase – ostrzegła – żadnych lez i żadnego „co by było, gdyby”.
- Umowa stoi. Opowiedz mi o wyprawie z pułkownikiem. Czy widzieliście yeti?
- Ani śladu – pokręciła głową.
- Czy obozowaliście przy strumieniach, podziwialiście góry, rozmawialiście z wieśniakami, braliście udział w miejscowych uroczystościach?
- Taka jest moja filozofia turystyki, ale nie pułkownika. Maszerowaliśmy dwadzieścia pięć kilometrów dziennie. Herbata o dziesiątej, odpoczynek o czwartej, rozkładanie namiotów i spanie w wół do dziesiątej.
- Bardzo by mi się to nie podobało. Cieszę się, że wynająłem ciebie, a nie jego. I cieszę się, że nie tęskniłaś za mną.
- Nie miałam czasu na tęsknotę.
- Patrzyła na jego ręce, na palce, które przywracały wzrok i ratowały wyczerpanych oraz chorych. Ale gdybyśmy mieli się znów rozdzielić, dodała w myśli, nie wiem, jak bym to potrafiła znieść.
- Resztę kolacji zjedli w milczeniu. Kiedy Chase zapłacił rachunek, wstała i pozwoliła mu okryć się swetrem. Wyszli.
- Otoczył ją ramieniem i ziewnął.
- Kiedy ostatni raz trochę spałeś? – spytała w czasie drogi powrotnej do hotelu.
- Nie pamiętam. Może w samolocie.
- Powinieneś iść wcześniej spać, bo inaczej nigdzie nie pojedziemy.
- Uśmiechał się i godził na wszystko, co mówiła. Powiedzieli sobie dobranoc w korytarzu przed drzwiami. Chase pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.
- Czy zechcesz obudzić mnie jutro rano?
- O której? – tuliła się wciąż do jego policzka. Chciała mieć pewność, że nie śni.
- O którejkolwiek się obudzisz. Pewnie ci powiem, żebyś się odczepiła, że to środek nocy, niemniej zrób to.
- To nie będzie zbyt wcześnie – obiecała. – Musisz nadrobić stracony sen – pocałowała go, wymknęła się z jego ramion i weszła do pokoju.
- Gdy Chase się obudził, świeciło słońce, a Kyła siedziała na brzegu jego łóżka, ubrana w czerwony sweter i błękitne dzinsy. Pachniała mydłem i świeżością. Przytulił ją do siebie.
- Wezmę prysznic. Zostaw mi trochę kawy.
- Jedźmy dziś na Angel Island i wypożyczmy rowery.
- Pojechali taksówką na przystań 54 i weszli na prom. Wiatr chłostał spienione fale zatoki, a słońce oświecało zielone wzgórze. Chase nasunął Kyli kaptur wiatrówki na głowę i poprawił zapięcie. Potem odwrócił ją twarzą w

kierunku mostu na zatoce i pagórków po wschodniej stronie.

– To tam się wychowałem.

– Czy twoi rodzice wiedzą, że jesteś tutaj?

– Nie.

– A czy ich zawiadomisz?

– Mam wypełniony rozkład dnia – odpowiedział. – A poza tym... – zawiesił głos.

– Nie wiedziałbyś, co im powiedzieć – dokończyła zdanie. – Ani jak wyjaśnić, co tu robisz.

Zignorował jej ostatnią uwagę. Próbował nie myśleć o przyczynie swojego przyjazdu. Próbował udawać, że nie będzie poniedziałku.

– Czy chciałabyś się z nimi zobaczyć?

– Nie wiedziałabym, o czym z nimi mówić.

– Tym się nie przejmuj. Oni ci to ułatwią: „Jak się pani podoba Piedmont? A może wolałaby pani mieszkać w Hillsborough? Czy pani woli cegłę czy kafelki w patio? Golf czy tenis w miejscowym klubie? A ponieważ początkujący lekarze długo pracują, pewnie chciałaby pani wstąpić do jakiejś eleganckiej organizacji charytatywnej, do Junior League albo do Córek Złotego Zachodu?” – Kyla śmiała się, on ciągnął dalej. – Wyobrazasz to sobie? Oni byliby zachwyceni spotkaniem z tobą. Chcą, żebym się ożenił.

– I miał dzieci – dodała.

– To zależy ode mnie – powiedział przez zaciśnięte zęby i przytulił ją mocniej. – Już mówiliśmy o tym. Mam nadzieję, że nie zepsujemy sobie weekendu gadaniem o przyszłości, ale jeśli nalegasz... Nie powiedziałaś mi, dlaczego zmieniłaś zdanie i mimo wszystko zrobiłaś badania.

– Pomogłeś mi podjąć decyzję, mówiąc, co o tym myślisz – skrzyżowała ramiona i patrzyła na fale. – Ale nie zmieniłam zdania w kwestii wyników. Po poniedziałku moje życie potoczy się tak, jak to było zaplanowane, jak być powinno.

– Przypuszczasz zatem, że w poniedziałek pozwolę ci odejść niezależnie od wyników – patrzył na nią z niedowierzaniem, oszołomiony.

– Powinieneś – powiedziała stanowczo.

– Dlaczego? Czy zakłócę twój rozkład zajęć, tak pełny rozrywek? Czy powstrzymam cię przed następną wielką przygodą?

Potrząsnęła przecząco głową.

– No to na czym polega problem?

– Jesteś lekarzem, a nie turystą czy przewodnikiem. Możesz cieszyć się jedną czy drugą wędrowką, ale co z medycyną? Całymi latami uczyłeś się swego zawodu i nie jesteś gotów odrzucić go, by włączyć się ze mną dookoła świata. Czy nie mam racji, Chase?

– Masz rację. Chcę być lekarzem.

Rozległ się gwizd, obwieszczający przybycie promu na Angel Island. Chase

pomógł Kyli wyjść na brzeg. Wypożyczyli rowery i pomknęli przez pagórki wyspy. Podziwiali wspaniałą panoramę San Francisco na tle błękitnego nieba. Złożyli sentymentalną wizytę w starym forcie. Policzki Kyli płonęły od zmęczenia i podmuchów wiatru. Bolały ją mięśnie nóg i nie protestowała, wchodząc na prom.

– Dobrze się bawiłaś? – spytał, dotykając ustami jej ucha.

– Ach – westchnęła z zadowoleniem. – Czy opłaciło ci się tu przylecieć? Dziesięć tysięcy kilometrów dla wygodnego łóżka w przyjemnym hotelu i filiżanki przyzwoitej kawy?

– Przyleciałem na świeże kraby.

Westchnęła raz jeszcze i poddała się jego pieszczotom, które pozwoliły jej zapomnieć o kołysaniu promu, krzykach mew nad głową i trzeszczeniu drewnianego pokładu. Nie odsunęła się, dopóki gwizd nie oznajmił, że przybyli do przystani 54.

W drodze do hotelu zatrzymali się i kupili gotowanego kraba, chrupiącą bułkę francuską i butelkę wina. Zjedli w pokoju Chase'a przy stole pod oknem.

– Czy nie powiesz mi dobranoc? – uśmiechnął się.

– Dobranoc.

– Nie tak.

Wyciągnął ramiona, a ona rzuciła się w nie bez wahania. Przytulił ją tak mocno, że czuła przez sweter ciepło jego ciała. Ale gdy zaczął zdejmować jej sweter przez głowę, usłyszała ostrzegawczy dzwonek. Wyprostowała się i poprawiła ubranie. Oczy Chase'a pociemniały. Poglaskał ją po włosach.

– Widzę, że wysokogórski regulamin dalej obowiązuje, choć jesteśmy teraz na poziomie morza.

– Przepraszam.

Wycofała się do drzwi, łączących ich pokoje, z drżącymi kolanami i trzęsącymi się rękami.

Nie odpowiedział. Kyła weszła do siebie, zastanawiając się, skąd weźmie siły, by przebrnąć przez jeszcze jeden dzień. Jak zdobędzie się na pożegnanie. Leżała w łóżku, nasłuchując stłumionych odgłosów miasta. Przebył dziesięć tysięcy kilometrów, aby być z nią. Przeszli razem przez góry, przeprawiali się przez rzeki, przeżywali sukcesy i porażki wyczerpującej wędrówki. Miała szczęśliwe życie, ale o ileż byłaby szczęśliwsza, gdyby mogła je dzielić z Chase'em. Sto razy bardziej? Nie, więcej. Chase nie był człowiekiem zwyczajnym. To nie przypadek zaprowadził ją do jego szpitala. To było przeznaczenie. Bogowie ją tam posłali. A kimże ona była, by odrzucać dar bogów? Jakże miała prawo odwrócić się od niego?

Wyskoczyła z łóżka i zapukała do drzwi. Zanim zdążył odpowiedzieć, stała już przy nim. Spojrzał i przetarł powieki. Przyciągnął ją do siebie.

– Czy to sen?

– Jeśli wciąż mnie chcesz – rzekła ze ściśniętym gardłem. – To znaczy, jeśli test będzie pozytywny, a ty wciąż będziesz mnie chciał... Ja... ja... – łzy płynęły jej po twarzy, a ona ocierała je niecierpliwie.

– Chcę ciebie – powiedział drżącym głosem. – Nie pozwoliłbym ci odejść. Porwałbym cię, gdyby to było konieczne. Ale łatwiej będzie, gdy zgodzisz się dobrowolnie – uśmiechnął się do niej. – A teraz wracaj do łóżka. Jutro mamy dla siebie cały dzień.

Skinęła głową i pobiegła przez pokój. Nigdy już nie będzie sama. Jakoś, gdzieś, będą razem, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i w chorobie. Ale teraz nie będzie myśleć o tym. Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następny dzień Kyla spędziła jak w transie. Chase dbał, by była ciągle zajęta. Solidne śniadanie w eleganckiej restauracji, karmienie kaczek w stawie na terenie muzeum, wycieczka po Exploratorium. Później obiad w domowej restauracji w Mission i jazda taksówką. Wyczerpana padła na łóżko.

W poniedziałek wczesnym rankiem pakowała walizkę. Chciała być gotowa do odjazdu niezależnie od wiadomości, jakie usłyszy. Chciała uporządkować życie – swoje i Chase’a. Ręce jej drżały, kiedy wpychała swetry i turystyczne buty do torby i zamykała ją. Po raz pierwszy zapragnęła, by Chase nie przyjechał. Bała się wyrazu jego twarzy, jeśli wynik okaże się pozytywny. Łatwiej byłoby wysłuchać złych nowin w samotności.

Zjedli śniadanie w hotelowej kawiarni, a potem pojechali taksówką do wysokiego, szarego budynku na szczycie wzgórza. Ich kroki rozbrzmiewały echem w długim korytarzu, gdy szli do gabinetu lekarza.

Kiedy czekali, Chase patrzył przez okno na szpitalne zabudowania za parkingiem.

– To przypomina mi moją praktykę stażysty.
– Lubieś ją?
– Żyłem jak otumaniony. Harowaliśmy całymi godzinami, a potem musieliśmy czekać pod telefonem. Prawdopodobnie byłem zapracowany tak, jak teraz każdego dnia.

Przypatrywała się jego podkrążonym oczom, bruzdom wokół ust, gęstym włosom i krzaczastym brwiom. Wyglądał, jakby nie spał przez całą noc. Nie

chciała go wciągać w swoje sprawy. Te doświadczenia były już dostatecznie ciężkie dla niej. Nie powinna obarczać swoim nieszczęściem kogoś, kto nie musiał cierpieć.

Recepcjonistka poprosiła, żeby weszli do gabinetu. Dodała, że doktor wkrótce przyjedzie. Gdy się wreszcie zjawił, Kyla podniosła się i zaraz usiadła. Otworzyła usta, chciała się odezwać i prosić go o szybką odpowiedź, ale nie wydała żadnego dźwięku. Spojrzał na papiery w ręku i na nią z twarzą pozbawioną wyrazu. Czas się zatrzymał.

– Nie masz tego genu, Kyla. Nie jesteś chora.

Kolana jej drżały, gdy wstała. Czuła, że nie może opanować drżenia całego ciała i zaczęła płakać. Wiedziała tylko, że jest w ramionach Chase'a i że płaczą razem. Trzymała się go tak silnie, że szepnął jej do ucha, iż nie ma zamiaru nigdzie odejść.

– Doktorze – powiedziała Kyla, wyciągając do niego ręce – dał mi pan nowe życie.

– Dał pan życie nam obojgu – dodał miękko Chase, ściskając dłonie lekarza.

– Czy tu jest telefon? – spytała Kyla, idąc do drzwi.

– Na zewnątrz przy wejściu – odparł lekarz.

Kyla ciągnęła Chase'a za rękę przez korytarz. Wrzuciła do aparatu garść monet i wzięła słuchawkę.

– Chciałabym, żebyś poznał parę osób. To McDermottowie z Friday Harbor. Rodzina mojej matki żyje zgodnie z tradycjami. Należą do nich małże, ale niesłuchanie uroczyste wesela w porcie. Tak pobrali się moi rodzice. Czy masz coś przeciwko temu?

– Czy prosisz mnie o rękę? – spytał z uśmiechem Chase.

Kyla przygarnęła go do siebie.

– Nie. Musisz spytać ciotkę Mildred, czy wolno ci będzie mnie poślubić. To jest także tradycja.

– Dlaczego więc nie pojedziemy spytać ją osobiście? – szepnął jej do ucha.

– Czy może tradycja wymaga, by to robić przez telefon?

Kyla roześmiała się i pokręciła głową.

– Ciocia Mildred? Tutaj Kyla. Jestem w San Francisco. Poszłam za twoją radą i zrobiłam badania.

Nastąpiła długa cisza.

– Mogę zgadnąć po twoim głosie, jakie są wyniki – powiedziała ze wzruszeniem ciotka Mildred. – Kiedy cię zobaczę, dziecko?

– Przyjadę, jak tylko będę mogła. Jest ktoś, kogo chcę ci przedstawić.

Po drugiej stronie linii rozległo się pełne ulgi westchnienie. Kyla dosłyszała jeszcze, że dzwonek obiadowy brzęczy trzy razy. Była to jeszcze jedna tradycja McDermottów, oznaczająca, że nadeszły dobre wieści dla rodziny.

EPILOG

Dolina Pokhary; dwa lata później

Każda wycieczka do Nepalu zaczyna się i kończy w Katmandu, gdzie turyści mogą zwiedzić Durbar Square, stary pałac królewski, świątynie, sklepy i klasztory. Większość podróżnych jednak przybywa tam dla majestatycznego krajobrazu. Nie inaczej było z grupą dziesięciorga dorosłych i siedmiorga dzieci zorganizowaną przez agencję „Rodzinną wyprawę z przygodami”. W niewielkiej osadzie Ghorandrum stanęli jak wrośnięci w ziemię na widok Annapurny, Dhaulagiri oraz szczytu Machapuchare w kształcie rybiego ogona.

Byli z nimi dodatkowi tragarze i Szerpowie, niosący zmęczone dzieciaki wzdłuż starannie wytyczonych szlaków, które prowadziły przez doliny usiane małymi wioskami. Był tam nawet amerykański lekarz z apteczką pierwszej pomocy. Jego żona, przewodniczka, wróciła do pracy, aby poprowadzić tę szczególną wyprawę. W stalowych nosidełkach na plecach niosła swoją małą szarooką córeczkę. Przewodniczka osłoniła ręką oczy i zwróciła się do męża. Sięgnął ponad jej głowę, by poprawić córeczce kapelusik z szerokim rondem. Znów dostrzegł podobieństwo tych dwóch kobiet jego życia – szare oczy, niesforne loki i uśmiechy, wzruszające jego serce.

- Nie oglądasz widoków – powiedziała Kyla, kładąc mu rękę na ramieniu.
- Ależ tak – zapewnił Chase, patrząc na nią. – Wciąż jesteś najpiękniejszym widokiem, jaki może zaoferować „Podróż z przygodami”.
- Więc wybrałaś się na tę wycieczkę, żeby patrzeć na mnie? – uśmiechnęła

się.

– Za nic w świecie nie chciałbym opuścić tej wyprawy. W porównaniu z naszą wędrówką do doliny Manang, to chleb z masłem. I możemy podziwiać gaje rododendronów, chaty na wzgórzach, spotykać przyjaznych wieśniaków. Natomiast nie ma mostów. Czegóż mógłbym chcieć więcej?

– Myślałam, że chciałbyś pewnego dnia wrócić do domu – odpowiedziała Kyla, gdy tymczasem Emily Tanner-Cunningham wierciła się i gaworzyła na jej plecach.

– Dom jest tam, gdzie zawieszamy nasz dywan. Być może pewnego dnia wrócimy do Kalifornii, ale nie do wielkiego miasta, lecz w okolicę, gdzie potrzebni są lekarze. Czy zgadzasz się z tym, Emily? – zapytał małą.

– Na szczęście ona się łatwo adaptuje – uspokoiła go Kyla.

– Zupełnie jak jej matka – uśmiechnął się.

Kyla odwróciła się, by patrzeć, jak słońce zachodzi za pokryte śniegiem góry, wyniosłą siedzibę bogów. I zmówiła milczącą modlitwę, dziękując za dar życia.
